NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 23 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 17 maja 1913. Nr. 20.

„Ogniem i mieczem“.

(Treść na str. 2).



„Ogniem i mieczem".

(Do illustracyi tytułowej).

Ostatnia twierdza turecka na obszarach bałkańskich, broniąca się od szeregu miesięcy padła. Skutari zajęte zostało przez wojsko czarnogórsko-serbskie po dzielnej obronie, którą prowadził Essad basza. Przez szereg miesięcy forty tureckie broniły się, Bardaniol i Tarabosz stanęły jak mur niezdobyty przed zwycięskimi armiami związkowymi.

Skutari z natury swej jest już obronnie położone. Wzgórza, panujące nad miastem i okolicą, przez Turków zostały zamienione w niezdobyte forty, u stóp których ginęły tysiące zaciekle szturmujących Czarnogórców, nie mogących mimo strasznych wysiłków dostać się na szczyty.

Dla Czarnogóry zdobycie Skutari stało się postulatem narodowym. Cały naród jednogłośnie domagał się tego, grożąc inaczej królowi czarnogórskiemu zdetronizowaniem. Dlatego też nie pomogły protesty mocarstw, które w umowie między sobą zawartej przydzieliły Skutari do przyszłego państwa albańskiego. Nawet gdy u wybrzeży Czarnogóry pojawiła się flota międzynarodowa, szturm do fortecy nie został przerwany.

Wreszcie miasto poddało się. Zmusił je do tego głód, który stanął jako sprzymierzeniec oblegających. A także i Essad basza miał już dosyć walki. Jak słychać, porozumiał on się z królem czarnogórskim i wydał miasto, zyskując za to prawo wyjścia z bronią w ręku.

Zwycięskie wojska czarnogórskie i serbskie wkroczyły do miasta, a następca tronu ogłosił je nową stolicą Czarnogóry.

Na horyzoncie politycznym w odpowiedzi na ten sukces Czarnogóry zebrała się piorunna burza. Austrya zmobilizowała wojska, to samo uczyniły Włochy, poparła je Anglia i Niemcy. Zagrożono wojną na wypadek, gdyby Czarnogóra chciała na stałe zatrzymać Skutari. W austryackiem Cattaro na pograniczu Czarnogóry przygotowywano się już do akcyi wojennej.

Król Mikołaj musiał ustąpić. W tych dniach Skutari zostało wydane w ręce oddziału wojsk międzynarodowych, które zajęły je dla przyszłego państwa albańskiego. Przedtem jednak zaszedł fakt, który o mało nie zamienił Skutari w kupę gruzów. Oto, gdy wojska czarnogórskie opuszczały miasto, wybuchł nagle olbrzymi pożar w dzielnicy bazarowej. Jak stwierdzono, został on podłożony przez żołnierzy czarnogórskich. Rozszalałe płomienie, których z powodu braku wody i przyrządów do gaszenia nie można było opanować, ogarniały dom za domem, sklep za sklepem.

Pospieszono z ratunkiem, ale ogień rozszerzał się bardzo prędko i groził objęciem całego miasta w płomienne swe uściski. Pożar trwał blisko 24 godzin i zamienił w kupę gruzów blisko dwieście domów.

Ostatecznie opanowano rozszalały żywioł w ten sposób, że burzono domy nie zajęte ogniem i tak odcięto mu możność rozszerzania się.

Czarnogóra chciała w posiadanie mocarstw oddać tylko gruzy i o mało jej się to nie udało. Wojska jej opuściły już miasto, a naród cały z boleścią patrzy na tę stratę. Na Bałkanach walczono ogniem i mieczem, a ostatnią ofiarą tej walki padło Skutari...

Tytułowa nasza illustracya przedstawia ulicę Skutari objętą płomieniami. Prócz tego podajemy szereg illustracyi z ostatniego tygodnia historyi Skutari.





Praca narodowa na Podhalu: Zlot drużyn podhalańskich w Nowym Targu. (Fot. „Tatry", Zakopane).

Praca narodowa na Podhalu.

Ubiegła niedziela zapisze się na długo w pamięci całego Podhala... Urządzony w dniu tym zjazd so-



„Ogniem i mieczem": Rodzina królewska udaje się na nabożeństwo dziękczynne w Cetynii po zdobyciu Skutari. 1) król czarnogórski Mikołaj, 2) następca tronu ks. Danilo, 3) królowa czarnogórska Milena, 4) następczyni tronu ks. Milica.

kolich drużyn podhalańskich w Nowym Targu zgromadził niezliczone rzesze ludu i stał się wspaniałą uroczystością. Już wczesnym rankiem zaczęły napływać do Nowego Targu liczne szeregi sokolskie ze wszystkich stron Podhala.

O godz. 10 rano zaczęła się uroczysta suma, którą odprawił na cmentarzu ks. kanonik Michał Wawrzynowski, proboszcz nowotarski. Podczas sumy wygłosił kazanie, pełne głębokich myśli, ks. Jan Bułat.

Po sumie rozwinął się olbrzymi pochód. Na czele jechała banderya konna, potem kroczyły karne szeregi sokolich drużyn podhalańskich, skauci, młodzież miejscowych szkół, straże ogniowe i publiczność.

Pochód przeszedł z kościoła naokoło Rynku i ustawił się przed Ratuszem. Następnie wyszedł na balkon Ratusza burmistrz Nowego Targu p. Józef Rajski i w krótkich słowach powitał zgromadzonych, podnosząc patryotyzm ludności Podhala.

Z kolei zabrał głos redaktor „Gazety podhalańskiej“, znany poeta p. Feliks Gwiżdż, który przemówił do zgromadzonych w podniosłych słowach.

Po południu odbyła się w parku miejskim zabawa ludowa, połączona z ćwiczeniami „Sokoła“ nowotarskiego, zakończona przedstawieniem teatralnem. Na umyślnie zbudowanej scenie, wśród zieleni ogrodu, na wolnem powietrzu, odegrała młodzież rękodzielnicza „Wóz Drzymały“ Józefa Rączkowskiego, a utwór ten wywarł na słuchaczach głębokie wrażenie.

Już zapadał zmrok, gdy uczestnicy zjazdu opuszczali Nowy Targ, pełni podniosłych uczuć i pokrzepieni na duchu...

Illustracye nasze przedstawiają różne epizody z uroczystości sokolich w Nowym Targu.



Praca narodowa na Podhalu: Zjazd drużyn podhalańskich w Nowym Targu: Msza polowa. (Fot. „Tatry“, Zakopane).

Zjazd kobiet polskich w Krakowie.

W czasie Zielonych Świąt obradował w Krakowie wielki Zjazd kobiet polskich. Dalecy jesteśmy u nas od propagowania idei sufrażystek, ale Zjazd, który imponował ilością uczestniczek, zgromadził najwybitniejsze działaczki z wszystkich dzielnic Polski, bo radziły one nad pracą kobiet polskich na





Praca narodowa na Podhalu:

Zlot drużyn podhalańskich w Nowym Targu: Banderya góralska. (Fot „Tatry“, Zakopane).

Delegaci drużyn podhalańskich. 1) Prezes Związku drużyn podhal. dr. Z. Wasiewicz, 2) marszałek Lgocki. 3) burmistrz N. Targu J. Rajski, 4) red „Gaz. Podhal.“ F. Gwiżdż.



Praca narodowa na Podhalu: Drużyny podhalańskie w Nowym Targu na Rynku. (Fot. „Tatry“, Zakopane).

niwie społecznej, gospodarczej i przy ognisku rodzinnem.

Celem Zjazdu było pogłębienie idei wychowania narodowego, ustalenie dla niej odpowiednich wskazań w obecnej dobie i ujęcie pracy kobiet polskich w jednolitą, planową całość.

Z referatów przedstawionych na Zjeździe przekonało się społeczeństwo nasze, że kobiety polskie po cichu, bez rozgłosu i sufrażystowskiej efronteryi pracują intenzywnie i na wsi i w mieście, nie zrażając się nieraz wielkimi trudnościami, jakie w swej pracy napotykają.

Najmniej może intenzywną była przedstawiona praca na gruncie galicyjskim. W każdym razie jednak Zjazd zaświadczył, że praca kobiet polskich rozwija się doskonale i zapewnia przyszłym pokoleniom zdrowe podstawy rozwoju.

Przewodniczyła Zjazdowi ks. Andrzejowa Lubomirska. Prace Zjazdu trwały trzy dni, a przez cały czas obrad sala Tow. rolniczego była przepełniona. Przybyły przedstawicielki z Królestwa Pol., Poznańskiego i całej prawie Galicyi, oraz bardzo wiele delegatek różnych stowarzyszeń kobiecych.

Na zjeździe poruszono szereg żywotnych tematów, dotyczących wychowania dzieci i organizacyi kobiecej.

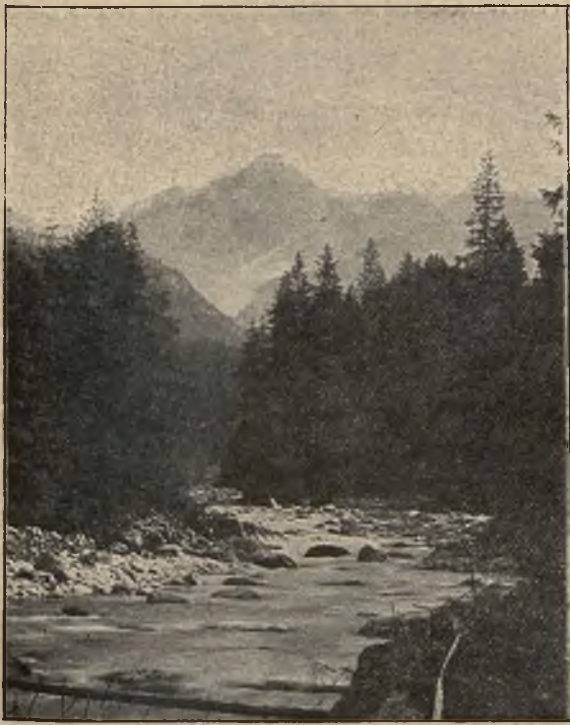
Illustracye nasze przedstawiają rozpoczęcie obrad w sali Tow. rolniczego.

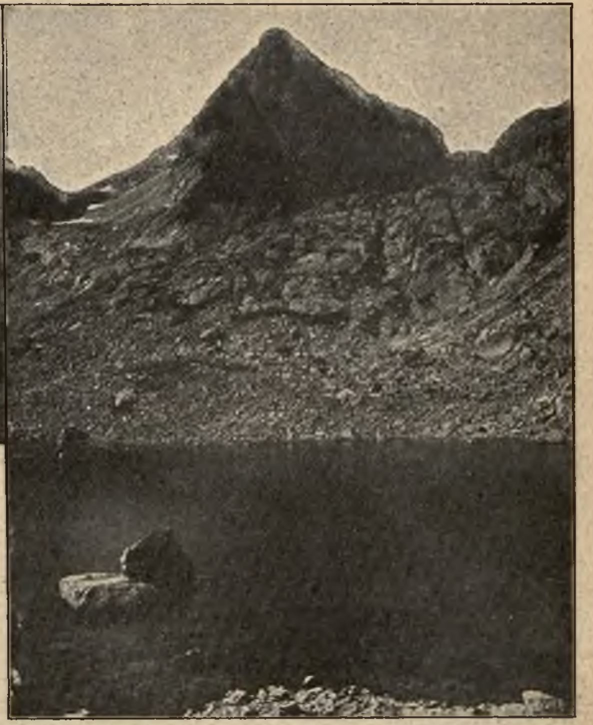


Zjazd kobiet polskich w Krakowie: Otwarcie Zjazdu.



Zjazd kobiet polskich w Krakowie: Uczestniczki Zjazdu podczas pierwszego posiedzenia w sali Towarzystwa rolniczego.





ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

12

Jakieś niemiłe przeczucie tknęło panią Wandę, przyglądała się baczniej bladej Rycie, siedzącej nieruchomo, z oczami spuszczonemi i po chwili milczenia spytała cichym, przyjaznym głosem:

— Ryto, o czem myślisz?

— Ach, głupstwo! — zaśmiała się nieszczerze, — nie warto mówić.

Pani Wanda przyciągnęła Rytę ku sobie, pocałowała w czoło, pieszczotliwie głaskała jej włosy i powiedziała miękko:

— No, Ryto, powiedz, co ci brakuje?

— Powiedzieć? — zawahała się i spojrzawszy w dobre, rozczulone oczy pani Wandy, zaczęła cicho: — tobie pierwszej zwierzę się... znamy się tak krótko, ale od pierwszej chwili poczułam sympatyę dla ciebie... Może się mylę, ale miałam wrażenie, że masz smutek tajemny w duszy, który nurtuje w tobie, przenika, boli cię, podobnie, jak u mnie.

— I nie omyliłaś się, — westchnęła, — ale mówmy o tobie... powiedz szczerze, taka spowiedź sprawia ulgę.

Ryta wcisnęła się w kąt kozetki i zaczęła cichym, spokojnym głosem:

— Wiesz, miałam siostrę, ulubienicę matki... Po nagłej jej śmierci, mama strasznie cierpiała... dostała melancholii, a ból jej po tej stracie dochodził do szału.

— Biedna! — westchnęła pani Wanda.

— Stopniowo mama uspokajała się, ale dopiero w Zakopanem zmiana otoczenia i warunków życia doprowadziła ją do pewnej równowagi, a ja byłam i jestem jej garde-malade.

— Teraz rozumiem twój smutek i przygnębienie, — mówiła serdecznie pani Wanda, — żyć w ciągłej obawie, to straszne. Teraz jednak jest mamie lepiej, jak sama mówisz, wszystko wróci do stanu normalnego, i wkrótce...

— Jeszcze nic nie wiesz, — przerwała jej Ryta niezadowolona, — dopilnowanie i troska o zdrowie mamy tak dalece mi nie cięży, można z tem żyć, a nawet uczuwać pewne zadowolenie, że spełnia się sumiennie swój obowiązek.. ale posłuchaj dalej, — umilkła.

Pani Wanda uścisnęła rękę Ryty i szepnęła:

— Czy ten stan mamy oddziaływa na ciebie?

— To, nie!... Ale wyobraź sobie, że ty jesteś dla swej matki przedmiotem nieustannego żalu i pretensyi do Boga i ludzi za doznaną niesprawiedliwość losu, że bardzo często słyszysz, a nieustannie widzisz pytanie, pełne gorzkiego żalu: dlaczego tamta umarła, a ty żyjesz? Czujesz, że twoja śmierć byłaby szczęściem, radością i zdrowiem matki; że każdy twój ruch, spojrzenie, słowo, budzi nieutulony żal, dlaczego ty nie umarłaś?

— To jednak bardzo bolesne, — powiedziała ze współczuciem pani Wanda.

— Ja naprawdę kochałam siostrę, ale teraz sama nie wiem... Jeśli chcę mamie w czem pomódz, usłużyć, współczuję z jej cierpieniem, staram się ją pocieszyć, zawsze słyszę: ty tego nie umiesz, ona byłaby inną!... Gdy zmartwiona i zniechęcona siedzę milcząca i smutna, zaraz usłyszę: Ona nigdy nie była taką!... Cień jej stoi wiecznie pomiędzy mną a mamą, idzie za mną, stoi, patrzy, słucha, ani na jedną sekundę mnie nie opuszcza... i jak tu walczyć z cieniem? Gdybym była najlepszą, najsłodszą, najposłuszniejszą, zawsze ona będzie o całe niebo wyższa odemnie. Gdy się czeszę, ubieram, pytam o radę w najdrobniejszej rzeczy, usłyszę: chociażbyś się nie wiem jak stroiła, ona zawsze będzie stokroć piękniejsza od ciebie. I tak zawsze, we wszystkiem!

— To straszne życie, — rozczuliła się pani Wanda, ucałowała ją serdecznie i dodała: — ty jesteś bardzo biedna.

Ryta, zwykle taka zamknięta w sobie i skąpa w słowach, roztajała pod wpływem przyjaźni i zwierzała się:

— I wyobraź sobie, Wandziu, że nieszczęściem mego życia są właśnie ci, którzy są mi najbliżsi, matka i siostra. Rozumiesz teraz ciężar i gorycz takiego życia... i nie widzę rozwiązania.

— Wyjedź z domu na jakiś czas, — doradzała pani Wanda.

— A co stanie się z mamą? Jej zdrowie i stan psychiczny są jeszcze takie wątłe, takie wrażliwe, że lada co zachwieje ich równowagę... Mówił mi doktor, że mama musi unikać wszelkich irytacyi, podrażnień, silniejszych wrażeń, zwłaszcza na tle uczuciowem. Czy mogłabym przeżyć, gdyby z mego powodu spotkało mamę jakie nieszczęście? I kto jej dopilnuje? Kto będzie znosił jej zniecierpliwienia i gniewy? Kto wysłucha jej żalów i narzekań? Sama przyznasz, że nie mogę jej opuścić i żyć pod grozą, że ja jestem przyczyną jej choroby, a może i śmierci.

— Tak, to prawda, — mówiła zamyślona pani Wanda, — ale przecież jakieś wyjście musi być i trzeba je znaleźć.

— Ja już mam, — szepnęła Ryta.

— Jakie? — poruszyła się niespokojnie pani Wanda i nachyliwszy się nad Rytą, nalegała: — powiedz! Jakie?

— Śmierć! — szepnęła ledwie dosłyszalnie.

— Ach, Ryto, co ty mówisz!? — zawołała przerażona, — czy śmierć jest wyzwoleniem? Czy to rozwiązanie?

— Tak jest, — podniecała się Ryta, — pomyśl sobie: nic się nie czuje, nie myśli, nie cierpi, nie widzi. I wszystko w jednej chwili znika, co męczy, co boli, co uniemożliwia życie.

Pani Wanda chciała coś powiedzieć o religii, o duszy, o karze pozagrobowej, ale na razie czuła bezskuteczność tego środka i obawiała się tonu fałszywego, któryby zmroził zaufanie i szczerość zwierzeń.

— Moja Ryto, zważ tylko, więc nie chcesz odjechać z domu w obawie złych następstw, a chcesz zrobić stokroć gorzej, zadając sobie śmierć.

— Ja nie chcę cierpieć, — zapalała się Ryta, — nienawidzę życia, a śmierć uwalnia mnie i od cierpienia i od życia.

— No, a matka?

— Nie będę nic wiedziała, ani czuła.

— Dobrze, Ryto, — tłómaczyła jej łagodnie pani Wanda, — a zastanowiłaś się ty, co to śmierć?

Ryta podniosła, oczy, w których odmalowało się pytanie.

— Śmierć, Ryto, to rozkład ciała, zupełne znieczulenie i zniszczenie wszystkiego, co cię może cieszyć lub smucić, to zaprzepaszczenie wszelkiej nadziei zmiany i szczęścia... Już nigdy nie ujrzysz tych, których kochasz, nie zobaczysz słońca, kwiatów, wiosny, nie posłyszysz dźwięku, muzyki, śpiewu...

— To prawda, — potwierdziła Ryta z namysłem, — ale nie będę cierpiała.

— Moja Ryto, przecież zdrowie mamy poprawi się, sama pozna swą niesprawiedliwość, oceni twe poświęcenie, przestanie ci dokuczać, zrozumie twe zalety i troskliwość.

— Nie, nigdy! Ty nie znasz mamy i jej miłości do zmarłej.

— Wierz mi, Ryto, to tylko stan przejściowy, nastrój chorobliwy i minie z wszelką pewnością. Idzie tylko o to, ażeby przetrwać czas jakiś, a najgorszy już minął.

— Ach, jak to łatwo powiedzieć: przetrwaj! — ironizowała Ryta, — ale przeżyj ty dzień jeden taki... jeden tylko dzień!

— O, Ryto, Ryto! — zawołała z żalem pani Wanda, — jakaś ty niesprawiedliwa! Czy myślisz, że ja nie odczuwam twego położenia? Nie rozumiem trudności? Nie współczuję z tobą? I właśnie dlatego, że cię kocham, chcę cię natchnąć odwagą, siłą.

— Ja to rozumiem, jesteś bardzo dobra, — rozczuliła się Ryta, — ale tak mi ciężko, tak źle, takam zmęczona, — skarżyła się jak dziecko po przez łzy.

— To minie, Ryto, minie, — ściskała ją i całowała.

— Nie! Nie minie, — szeptała Ryta.

— Zobaczysz, Ryto, ja czuję, że wszystko zmieni się na lepsze, — i tak się przejęła rolą opiekunki i pocieszycielki, że dodała: — mam plan, Ryto, ulżenia ci trochę.

— Jaki?

— Powiem twej mamie, że tak mi straszno samej nocować i poproszę, ażeby tobie pozwoliła spać u mnie.

— To niemożliwe. Mama często po nocach nie sypia, rozmawiamy, a właściwie mama mówi i narzeka, a ja słucham i przytakuję lub zaprzeczam. Dziękuję ci za dobre chęci, ale to niemożliwe.

— Więc będę prosiła, ażebyś mi towarzyszyła na spacery, wycieczki...

— Kiedyż ty nie możesz jeździć sanną, ani daleko chodzić.

— Zobaczysz, potrafię! Zawsze kilka godzin będziesz wolna, ale przyrzeknij mi, Ryto, że przez tydzień, przez jeden tydzień, nie będziesz myślała o śmierci.

— Tego nie mogę ci przyrzec, bo ta myśl jest moją pociechą i nie opuszcza mnie na chwilę.

— Ale, że nie wykonasz twoich zamysłów przez tydzień.

— No, wiesz Wandziu, — uśmiechnęła się smutnie, — na śmierć zawsze jest czas. Dobrze, przyrzekam.

— Jakaś ty dobra i kochana, — ucałowała ją pani Wanda, — zobaczysz jak nam dobrze będzie.

I z tą zmiennością właściwą dzieciom i kobietom, zaczęły układać dalsze i bliższe wycieczki piesze i saniami.

Wtem weszła pokojowa, zawiadamiając, że pani Łącka prosi panienkę, ażeby przyszła.

— Dobrze, zaraz idę, — zabierała się z ociąganiem do wyjścia, — tak mi dobrze było tutaj, — westchnęła.

— Pójdę z tobą, — ofiarowała się pani Wanda, — tak szaro i smutno.

Rozstały się przed drzwiami pokoju Łąckich i pani Wanda przeszła do salonu, mrocznego o tej porze i pustego, tylko z pobocznych gabinetów dolatywały niewyraźne odgłosy grających w karty i bilard.

Pani Wanda, mimo wstrętnej pogody, czuła się zdrowszą i dzielniejszą. Opuścił ją zwykły smutek i obawy, gdyż pochłaniała ją myśl, że jest komuś potrzebna i pożyteczna i doznała zadowolenia w rozbudzaniu własnej energii, ażeby Rytę pocieszyć i uwolnić od myśli samobójczych.

W salonie podeszła do fortepianu i przerzucała zostawione tam nuty, nagle posłyszała głos pana Jedlińskiego:

— Co za miła niespodzianka, a dla mnie szczęśliwa, że panią spotykam.

— Mieszkamy w zakładzie, nic w tem dziwnego.

— Ale pani zwykle niewidzialna.

— Dziękuję panu za kwiaty, — podała mu rękę, którą on kilkakrotnie ucałował, że aż musiała ją cofnąć.

— Pozwoliłem sobie ofiarować pani, bo dzień taki smutny i chciałem, ażeby one przypomniały pani słońce.

— O słońcu i tak się pamięta, bo tęskni się za niem.

— Bywają rozmaite słońca, — szli przez salon oboje, — zależnie od konstelacyi gwiazd.

— Ale my znamy tylko jedno, to nasze, — uśmiechnęła się.

— Może pani... ale ja na przykład znam słońca potężniejsze od naszego... jest słońce piękności, wdzięków, uroków cudownych, — patrzał na nią płomiennie, — którego uśmiech rozpromienia mroki smutku i zwątpień.

— Zaraz poznać, — mówiła swobodnie, — że pan przyjaźni się z poetami w naszym zakładzie i puszcza pan wodze swej fantazyi poetyckiej.

— To nie żadna fantazya, — upewniał szczerze, — to najistotniejsza prawda. Pani jest dla mnie słońcem nadziei i szczęścia.

— I poco te komplementa zbyt wyszukane? One mnie nie rozczulają ani w niczem nie zmienią.

— Ja to wiem, — westchnął, — słońce jest zawsze obojętne, przyświeca wszystkim i na wszelkie hymny jest głuche... ale to nie przeszkadza, że można je wielbić i czcić.

— A, jeśli to panu przyjemność sprawia, nic nie mam przeciw temu, bylem tego nie słyszała.

— Tak, ma pani słuszność, słowa są za słabe, ażeby oddać całą głębię i subtelność uczuć. Wystarczy spojrzenie, uśmiech, promienność twarzy, uścisk ręki.

— Możebyśmy jednak z tych górnych Parnasów zeszli na ziemię, — uśmiechnęła się, — będę się czuła swobodniejszą.

— Dobrze, proszę pani, chociażbym z panią zeszedł w najgłębsze niziny, zawsze będę w niebie.

— No, tak nizko nie myślę schodzić, ale wróćmy do zakładu naszego. Czy nie ma pan sposobu ożywienia tego posępnego dnia?

— Myślałem o tem. Tak gorąco pragnę widzieć panią uśmiechniętą, rozprószyć smutki z jasnego czoła pani, natchnąć wesołością i wiarą w piękną, promienną przyszłość, pełną miłości i szczęścia. Mojem jedynem pragnieniem jest usłać drogę życia pani kwiatami. Czy pani mi wierzy?

— Słyszę przecież, — uśmiechnęła się, — i jaki będzie program dzisiejszy?

— Czy chce pani, ażeby był zabawny, czy nastrojowy?

— Zabawny. Zależy mi nie tylko na sobie, ale jeszcze więcej na pannie Rycie, ona potrzebuje wesołości, uśmiechu, swobody.

— Ona!? Panna Ryta, — uśmiechnął się niedowierzająco, — jest taka obojętna na wszystko, tak niechętnie, niemal szorstko odnosi się do każdej zabawy, żartu, rozmowy, że chyba jej to zupełnie obojętne, jakiego rodzaju będzie program.

— Pan mylnie ją osądza, ona jest bardzo wrażliwa, uczuciowa i niezwykłej zacności. Gdyby pan ją bliżej poznał, nie wątpię, że zakochałby się pan w niej.

— Nie! Najpierw ja już jestem zakochany, a następnie muszę powtórzyć znany frazes: panie swacie, wolę za cię!

— Na wędki z takiemi przynętami łowią się inne ryby, — zaśmiała się, — a teraz ułóżmy program.

— O, taka rzecz potrzebuje namysłu, rozwagi... musimy usiąść i pomówimy, — a ponieważ byli blizko kozetki w rogu salonu, na nią wskazał i oboje usiedli.

On starał się być jak najbliżej, ona usuwała się nieznacznie i powiedziała swobodnie:

— Posiedzenie rozpoczęte, pan ma głos.

— Jaka pani jednak miła, jaka oryginalna w każdem odezwaniu się, — mówił z zachwytem, — naprawdę, ten posiadł niebo, kogo pani zaszczyci swymi względami.



Ryta wcisnęła się w kąt kozetki i zaczęła cichym, spokojnym głosem.

— To nie należy do rzeczy i do programu, — uśmiechnęła się, — co pan proponuje?

— Co?... a więc grę. Jestem dziś w takiem usposobieniu do hazardu, że daję na stawkę moje życie, a pani, jeden dobry, przyjazny uśmiech, i zagramy.

— Nie cierpię gry i hazardu. Lubię patrzeć jak roślina rozwija się, wypuszcza liście, wzmacnia się i rozkwita w bujny kwiat... ale hazard, przypadek, rakieta... z tem nie chcę mieć nic wspólnego, — odsunęła się znowu, gdyż on dotykał jej niemal.

— Dlaczego pani tak ucieka? — mówił z żalem, — pani jest najcudniejszy kwiat pod słońcem. Obecność pani upaja mnie, przenosi w kraje snów i marzeń. Sam nie wiem, co się ze mną dzieje, tracę poczucie istnienia, życia, bytu, — kończył cichym, osłabionym głosem.

Pani Wanda spojrzała na niego, wydał się jej bladym, jakby omdlewającym. Nagle wspomniała wiadomość od pani Poreckiej, że on chory, cierpi na epilepsyę i zdjął ją strach. A jeśli teraz dostanie ataku!? Spojrzała bezradnie po sali, po której kręciło się kilka nieznanych jej osób. Nie namyślając się, ujęła jego rękę, uścisnęła ją i rzekła łagodnie:

— Panie Jedliński, uspokój się pan, możemy być w przyjaźni... nie widzimy się ostatni raz.

On, korzystając z chwili, nachylił się jeszcze bardziej i szeptał rozmarzony:

— Ja panią uwielbiam, czczę jak świętą... pani dla mnie jest życiem, szczęściem, przyszłością.

— Dobrze... dobrze, — mówiła szybko zarumieniona, — tylko uspokój się pan... albo wstanę, — starała się wstać.

— O, nie! Zostań pani! Błagam! — przytrzymywał ją, — już jestem spokojny. Pani życie mi wróciła!

— Więc mówmy rozsądnie o programie dzisiejszego wieczoru.

Wtem w pobliżu odezwała się pani Porecka słodkim głosem:

— Jeśli nie przeszkadzamy, to i my chciałybyśmy wiedzieć coś o wieczorze.

Pan Jedliński odsunął się dość niezgrabnie i milczał, natomiast pani Wanda rzekła uprzejmie:

— Jak to dobrze, że panie nadeszły w tej chwili. Pan Jedliński układa właśnie program dzisiejszego wieczoru. Może panie zechcą pomódz.

— Co znaczy nasz głos, gdy państwo oboje ułożyliście wszystkie szczegóły, my możemy tylko posłuchać.

— Kiedy jeszcze nie ustaliliśmy programu.

— O, musi być obszerny, — zaśmiała się Madzia Porecka, — gdy nie skończyliście państwo do tego czasu.

— Prawie gotowy; — zawołał swobodnie pan Jedliński, — będzie wieczorek muzyczno-deklamacyjno-śpiewająco-tańcujący, — wstał z kozetki i kończył: — panie raczą usiąść i udzielić swej aprobaty.

— Sądziłam, że jedna panu wystarczy, — powiedziała uszczypliwie pani Porecka, — ale posłuchamy chętnie.

W salonie było szaro i wprawdzie pani Porecka, o ile dobry ton pozwalał, pilnie badała twarz pani Wandy, jednak zmrok przeszkadzał w obserwacyi. Nagle zabłysły lampy elektryczne i pani Porecka z Madzią spojrzały bystro. Spostrzegły, że jest wciśnięta w sam róg kozetki, że minę ma ożywioną, jak gdyby tryumfującą, a fryzura z jednej strony trochę w nieładzie i kołnierz koronkowy lekko przekrzywiony. Takie drobne szczegóły wpadają w oczy niewiast i z nich dądzą się wysnuwać różne wnioski.

— Czy uradziliście państwo oboje, kto będzie deklamował? — zwróciła się Madzia z uśmiechem do pani Wandy.

— Pan Jedliński ma dopiero uprosić.

— Ale kogo, proszę pani, chyba to nie jest tajemnicą? — nalegała pani Porecka łaskawie.

— Wcale nie, — wmieszał się pan Jedliński, — mam zamiar prosić panów poetów o deklamacyę.

— Śpiew, to pan, a muzyka?

— Może da się namówić pani Łotuska.

— Nawet pan nie próbuj, — uśmiechnęła się pani Porecka, — chyba, że uprosi ją pan Szarocki.

— Ależ doskonale się składa, — śmiał się pan Jedliński, — ona będzie grała, a on popisze się deklamacyą. Na zakończenie tańce i panią, — ukłonił się pani Wandzie, — proszę do pierwszego walca.

— Pan wie, że nie tańczę.

— A przecież pod tym warunkiem zgodziłem się na urządzenie wspaniałego koncertu, — zawołał zgorszonym głosem.

— Wobec takich zasług, — rzekła pani Porecka, — nie może pani pozostać nieczułą na prośby pana.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przed stu laty.

Rok 1913 jest pamiętnym rokiem jubileuszowym. Przed stu laty w r. 1813 szalała nad Europą wielka burza wojny napoleońskiej. Historyczna ta pamiątka przywodzi na myśl wielkich bohaterów tej epoki, przypomina ich czyny i odświeża w pamięci te wielkie dzieje przeszłości, które na długie wieki pozostaną wspomnieniem wielkich zapasów geniuszu napoleońskiego z dyplomacyą europejską.

Wśród wielu postaci, które obok Napoleona błyszczały na horyzoncie roku 1813, na pierwszym planie występuje jasna, opromieniona aureolą bohaterskiej sławy, postać ks. Józefa Poniatowskiego. Jeden z najdzielniejszych, najodważniejszych bojowników wolności, był ks. Józef bożyszczem polskich szeregów, to też pamięć jego tkwi żywo w sercach, budząc zawsze dumę i admiracyę.

Mało kto wie, że ostatnie chwile życia swego, spędzone na ziemi polskiej przed ostatnim bojem i śmiercią w falach Elstery, przeżył ks. Józef Poniatowski w Krakowie.

Na Zwierzyńcu znajduje się stary dworek z obszernym ogrodem, zwany „pod Lipkami“. W ogrodzie tym wznosi się stara olbrzymia lipa, pod którą omszała tablica przypomina, iż pod tą lipą 8 maja 1813 roku ks. Józef Poniatowski spożył ostatni na ziemi polskiej „podwieczorek“. Podejmowała go tu Zofia z Czartoryskich Zamojska, która też potem na tem miejscu położyć kazała kamień pamiątkowy ze smętnym napisem.



Przed stu laty: Kamień pamiątkowy na Zwierzyńcu pod Krakowem, w miejscu pożegnania ks. Józefa Poniatowskiego.

Obecny właściciel dworku „pod Lipkami“, dr. M. Stępowski, wskrzesił zamierzchłe wspomnienia i w rocznicę wielkich dni uczcił uroczyście pamiątkę historycznego „podwieczorku“. W murze, okalającym dworek, umieszczono tablicę pamiątkową, ufundowaną przez Towarzystwo opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury w Krakowie. Skomponował ją artysta Włodzimierz Konieczny. Tablica odlana z bronzu ma następujący napis:

„Żegnał ostatni raz Polskę, wyruszając na boje do Saksonii, wojsk polskich wódz naczelny ks. Józef Poniatowski. Tu „pod Lipkami“ posiadłości wonczas ordynatowej Zofii z Czartoryskich Zamojskiej. 8 maja 1813 r.“.

Poświęcenia tablicy dokonał uroczyście ks. Pilchowski, proboszcz ze Zwierzyńca, a przemawiali przy jej odsłonięciu dr. Tadeusz Szydłowski i dr. M. Stępowski.

Illustracye nasze przedstawiają historyczną lipę, kamień pomiątkowy i uroczystość odsłonięcia tablicy na dworku „pod Lipkami“.

Pół wieku na posterunku.

W dniu 6 maja b. r., po dorocznem nabożeństwie w kościele św. Floryana, święciła krakowska straż ogniowa piękną uroczystość, wręczenia złotego krzyża zasługi z koroną naczelnikowi straży ochotniczej, p. Wilhelmowi Fenzowi.

Na wspaniale przyozdobionem podwórzu strażnicy pożarnej zebrała się straż ogniowa miejska pod komendą swego naczelnika, p. Nowotnego, straż ochotnicza i liczne delegacye. W otoczeniu sztandarów wprowadzono Jubilata, do którego w serdecznych słowach przemówił wiceprezydent miasta Krakowa, dr. Szarski, podnosząc jego zasługi i obywatelską działalność, poczem przypiął na jego piersi udzielony mu przez Monarchę złoty krzyż zasługi z koroną.

Imieniem krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń przemawiał p. Stasicki, następnie zabrał głos



Przed stu laty: Historyczna lipa, pod którą w dniu 8 maja 1813 roku żegnano opuszczającego Kraków księcia Józefa Poniatowskiego.



Pół wieku na posterunku: Członkowie straży, przedstawiciele władz i goście, obecni na uroczystości udekorowania krzyżem zasługi z koroną naczelnika krakowskiej straży ochotniczej, p. Wilhelma Fenza.

naczelnik Nowotny i złożył hołd Jubilatowi, a defilada straży i taboru przy dźwiękach muzyki zakończyła piękną uroczystość.

Pan Wilhelm Fenz, to jedna z najpopularniejszych osobistości naszego miasta. Urodzony w roku 1841 w Nisku, pierwsze lata młodości spędził za granicami kraju, już jednak w roku 1857 powrócił do Krakowa i poświęcił się zawodowi kupieckiemu. W roku 1867 założył swój własny sklep galanteryjny, który prowadził aż do ostatnich czasów.

Od roku 1869 należy Jubilat do straży ogniowej ochotniczej, którą wówczas zorganizował ś. p. Wincenty Eminowicz i zapisuje się chlubnie na jej kartach, biorąc udział przy niemal wszystkich znaczniejszych pożarach, tak w Krakowie, jak i okolicy, za co otrzymuje dowody uznania tak od władz cywilnych, jak i wojskowych.

Niemniej owocną jest także działalność Jubilata i w krakowskiem Towarzystwie strzeleckiem, do którego należy od roku 1871. W roku 1874 piastował tutaj godność królewską, a od dwudziestu lat jest niestrudzonym i zapobiegliwym gospodarzem.

Dowodem sympatyi, jaką p. Fenz potrafił sobie zjednać w naszem mieście, był współudział w uroczystości najwybitniejszych osobistości z wiceprezydentem namiestnictwa p. Fedorowiczem na czele, które składały zasłużonemu Jubilatowi serdeczne życzenia.

„Spirytyści na Śląsku".

Prądy materyalistyczne XIX w. poczynają zwolna przeobrażać się w nową ewolucyę ducha — w wiarę w życie pozagrobowe, we wpływ duchów osób zmarłych na ustrój psychiczny ludzi — czego najlepszym dowodem nieprzeparte przekonanie licznych jednostek, że życie nasze w wieczności nie kończy



Pół wieku na posterunku: Wilhelm Fenz, naczelnik krakowskiej straży ochotniczej.

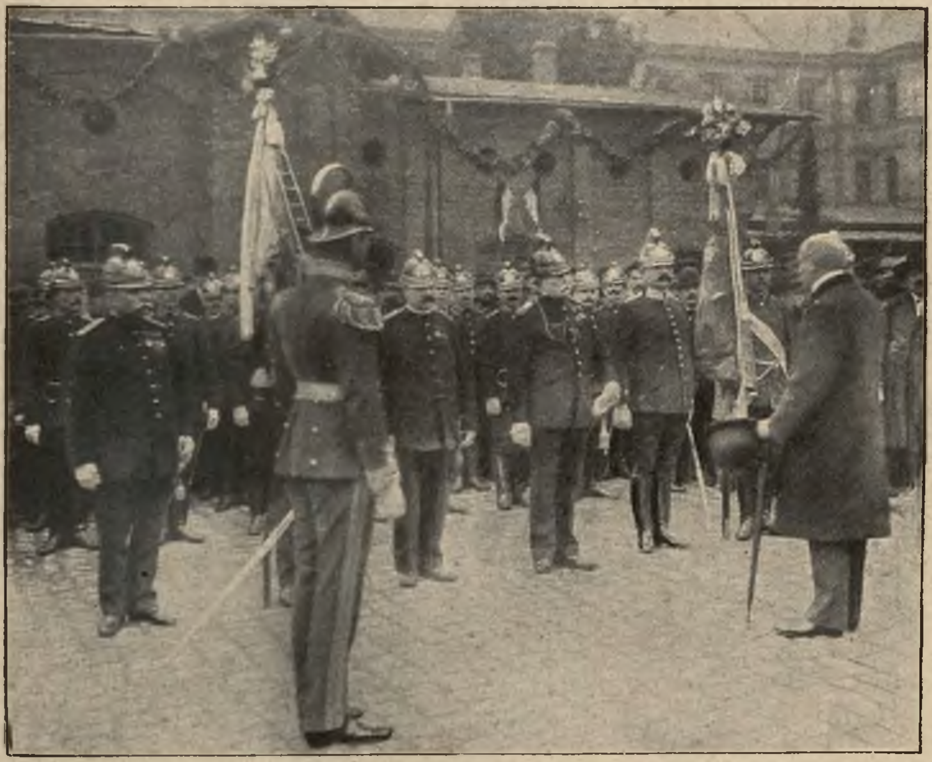
się z chwilą śmierci, że półmateryalna powłoka, zwana przez okultystów „ciałem astralnem", a przez spirytystów „uźroczą peryspryteml" nie ginie, lecz wraz z duszą ulata w świat zagrobowy (astralne sfery) i że „duch", obleczony w tę powłokę, żyje



Przed stu laty: Uroczystość poświęcenia tablicy pamiątkowej ku czci ks. Józefa Poniatowskiego w dworku „pod Lipkami" na Zwierzyńcu.

długo i tak długo, aż nadejdzie dla niego czas wyzwolenia, wywyższenia, lub oczyszczenia, zapomocą ponownego wcielenia się w nowonarodzone dziecię, zapomocą „reinkarnacyi“, która jest główną podstawą wierzeń spirytystów.

w tym śnie duchy osób zmarłych wstępują w ich ciało, posługują się jego organami, ucząc ich o życiu zagrobowem, nawracając do wiary w Boga i wieczne życie ducha, lub też błagają o wsparcie i orędownictwo, o modlitwę, cierpiąc rzekomo męki z pobranych, lub pisze ręką medyum. Kazania te nie przekraczają zwykle poziomu inteligencyi medyów, a ograniczają się zwykle do próśb o modlitwę za cierpiącą duszą, do interpretacyi wyjątków z Pisma Św. które obecni odczytują na zebraniach i w myśl



Pół wieku na posterunku: Uroczystość wręczenia złotego krzyża zasługi z koroną naczelnikowi krakowskiej straży ochotniczej, p. Wilhelmowi Fenzowi.



„Spirytyści na Śląsku“: Grupa „spirytystów“ przed domem Szewczyka w Łąkach na Śląsku. W środku (z obrazem) znany z procesu „spirytysta“ Hruszka.

W podróży mej na Śląsk celem badania objawów medyumistycznych, czyli ludzi mających własność komunikowania się z światem zagrobowym, t. j. t. zw. „medyów“, miałem sposobność obserwowania tamtejszych „spirytystów“, którzy uprawiają wyłącznie kult ducha i wierzą w jego nieśmiertelność. Tworzą ci ludzie osobną sektę wysokiej etycznej miary, wstrzymują się od wszystkiego, co poniża wartość duszy ludzkiej, co zbliża ją do życia zwierząt. Jako prości robotnicy, lub górnicy kopalń węgla, prowadzą ściśle życie wegeteryańskie, są najskrajniejszymi abstynentami, nie palą tytoniu, celem zaś ich ćwiczeń duchowych jest schodzenie się na posiedzenia spirytystyczne, na których wierzą, że ich „medya“ wpadaja w sen zwany „transem“ i że

wodu grzechów popełnionych za życia. Posiedzenie rozpoczyna się modlitwą, wygłoszoną przez jednego z „braci“, poczem śpiewają pieśni ze specyalnie na ten cel drukowanych śpiewników. Pieśni wszystkie są dziełem „duchów“, którzy dyktują je przez usta „medyów“, melodya zaś jest zazwyczaj popularna, znana narodowa, lub kościelna. Jedną z takich pieśni jako modlitwę do Boga o zesłanie ducha dobrego odśpiewali zebrani na temat melodyi: „Tysiąc walecznych“. Pieśń milknie, nastaje głęboka cisza skupienia duchowego, oczy obecnych zawierają się w głębokim upojeniu i zaczyna się powoli „wcielenie“ duchów. „Medya“ poczynają drżeć, następuje atak za atakiem, niby kurcz mięśni na podkładzie epileptycznym i już „dany duch“ przemawia do ze-

„tłómaczeń duchów“ do swych wierzeń zastosowują.

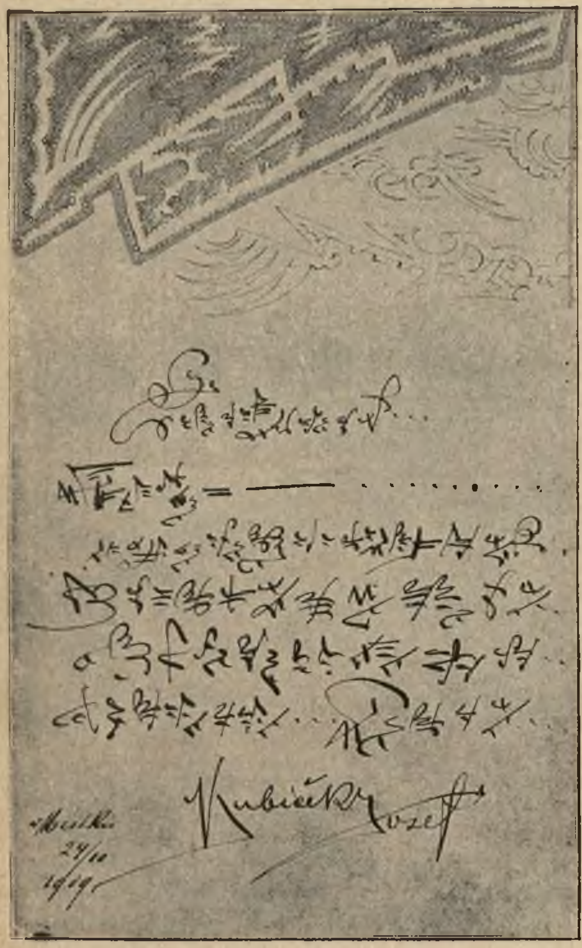
Z pośród licznych t. zw. „medyów“ obserwowałem ich medya „mówiące“, a więc te, które mają zdolność inkarnacyi ducha, piszące, czyli te, zapomocą których rąk „duch“ udziela komunikacyi zagrobowego życia, rysujące, słyszące, które słyszą głosy duchów, psychometryczne, czyli te, które mają zdolność rozmawiania z duchami i odbierania komunikacyi o osobach żyjących, zapomocą przykładania przedmiotów, noszonych przez osoby przy sobie i przykładania tychże do skroni, dalej somnambuliczne, czyli medya mające własność przenoszenia się w „ciele duchowem, czyli astralnem“ na odległe miejsca i widzenia rzeczy odległych i t. p.



„Spirytyści na Śląsku“: Zmniejszony piórkowy rysunek medyum Józefa Kubiczka, wykonany rzekomo przez „ducha“ Canovy ręką medyum.

Urządziwszy próbę z jednem medyum somnambulicznem, uzyskałem w jednej chwili przy najściślejszej kontroli zupełne wzniesienie się stołu w powietrze i tajemnicze stuki, pochodzące od niewidzialnego interlokutara.

Zebrania spirytystów odbywają się w domu sze-



„Spirytyści na Śląsku": Pismo „astralne", wykonane rzekomo przez ducha opiekuńczego „Erwersusa" ręką medyum Józefa Kubiczka.

wca Szewczyka w Lonkau (Łąki), na których zbiera się około 40 osób, przeważnie ludzi pracy, rolników, rzemieślników, górników oraz ich żon i córek.

Niedawno znany nam proces w sądzie krakowskim, w którym stawał jako oskarżony o zbrodnię obrazy religii niejaki Hruszka Wacław i Raszka, zwrócił na tych ludzi uwagę ludzi nauki. Zostali oni uwolnieni na podstawie oceny lekarzy, którzy na ich szczęście uznali tych niewinnych górników za niepoczytalnych. Hruszka jest „medyum mówiącem i rysującem", Raszka zaś „mówiącem".

Na szczególną uwagę zasługują rysunki medyów, które wykonują „duchy" ich rękami. Niektóre, zwłaszcza medyum Kubiczka z Misika i Humberlandowej (analfabetki), są tak misterne i w tak oryginalnym stylu rysowane, że doprawdy nie można uwierzyć, aby były sporządzone przez człowieka w stanie niepoczytalnym i to przez człowieka, który nigdy nic nie miał wspólnego z rysunkiem o stylu oryentalnym. Kubiczek, jak nie mniej niejaka Kryglerowa, mają własność pisania całych tomów komunikacyi w nieznanym „astralnym" języku. Pisma te ozdabiają przepięknymi inicyałami, przypominającymi perskie lub tureckie rysunki, wykonują to kolorowym atramentem z zadziwiającą szybkością, choć na jawie nie mają pojęcia o tych rysunkach i dziwią się, widząc przed sobą niezmiernie ciekawe oryginały. Humberlandowa maluje prześliczne dywany setkami barwnych kredek, wierząc, że to motywy, pochodzące z „Marsa", „Jupitera" i innych planet. Inne medya rysują nieznane zwierzęta, jak n. p. najlepsze medyum psychometryczne Kucharz, przedstawiające drobnoustroje. Inne medya, jak Hruszka, rysują potworne gady i ryby nieznane, inni rysują drzewa, nadzwyczaj misterną robotą wykończone, inni rośliny i alegoryczne postacie.

Poziom moralny tych ludzi jest bardzo wysoki, żyją zdala od ruchu politycznego i socyalnego, kochają się i całą ludzkość, jak bracia braci, czytają fachowe spirytystyczne pisma i zgłębiają naukę Chrystusa i na niej się wzorując, pogardzają wszystkiem, co jest doczesne, znikome.

Posiadam cały zbiór przepięknych obrazów i rysunków, których autorstwa nie powstydziliby się najpoważniejsi ornamentyści i malarze.

Adam Czerbak.

Odznaczenie polskiego artysty.

Niezwykłe odznaczenie spotkało znanego artystę-malarza p. Józefa Męcinę Krzesza. Komitet międzynarodowego Stowarzyszenia dla sztuk pięknych w Paryżu pod patronatem A. Rodina i Wincentego d'Indy'ego, zwrócił się do pana Krzesza z zaproszeniem, aby zechciał przyjąć godność członka tego komitetu. Jeżeli się zważy, że komitet honorowy składa się z 35 osób wybranych o wielkich nazwiskach z narodowości z całego świata — dość tu wymienić nazwiska: Gabryela d'Annunzio, Bartholome'a, Beckera, Besnarda, Breuil'a, Charpentier'a, Collin'a, Degas'a, dra Doyena, Erlangera, Anatola France, księżnę Gagarin-Stourdzę, Geroma Maesse, Rudjarda Kiplinga, Liberta, Claude-Moneta, Raula Pugno, Raffaellego, Renoir'a, Rolla, księcia Pawła Trubeckiego — to wyszczególnienie naszego artysty jest rzeczywiście niezwykłe.

Józef Męcina Krzesz jest dzieckiem Krakowa. Urodzony w r. 1860, już jako kilkunastoletni chłopiec zdradzał wielkie zamiłowanie do rysunków. W Krakowie uczęszczał też do Szkoły sztuk pięknych, gdzie zwrócił na siebie uwagę mistrza Matejki. Po dwóch latach pracy pod kierunkiem Matejki, jako ulubiony uczeń mistrza otrzymał najwyższe stypendyum krajowe imienia cesarza Franciszka Józefa i udał się na dalsze studya do Paryża, gdzie mieszkał lat 9, zyskując swemi pracami uznanie w świecie artystycznym.

Po odbyciu dłuższej podróży artystycznej za granicą, artysta wraca do kraju i maluje cykl „Ojcze nasz", subwencyonowany przez austryackie ministeryum oświaty. Ta kilkoletnia praca zyskuje



„Spirytyści na Śląsku": Misterny rysunek drzewa, wykonany przez górnika Józefa Prymusa w stanie anormalnym.

mu rozgłos i ogólne uznanie, a następnie szereg nagród i odznaczeń, między innemi wielki medal złoty za obraz „Sen Dzieciny Jezus".

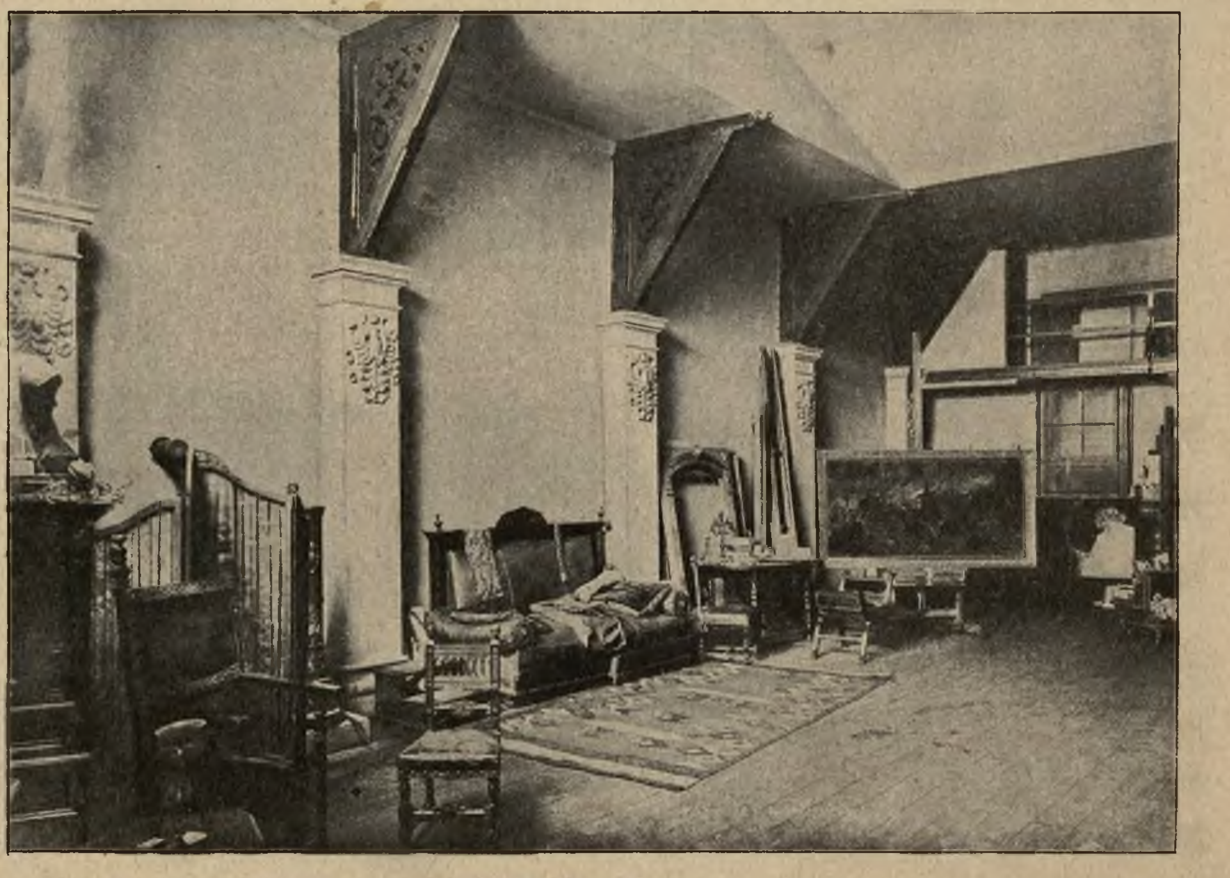
Z ostatnich prac artysty należy wymienić znany obraz „Ostatnie akordy Chopina", który znajduje się w Galeryi miejskiej we Lwowie. W sali audyencyonalnej Namiestnictwa wisi portret pośmiertny Andrzeja hr. Potockiego — wiele portretów znajduje się w prywatnych rękach.

P. Krzesz mieszka obecnie stale w Krakowie na Dębnikach, gdzie jest znany ze swej obywatelskiej działalności.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobiznę artysty, oraz widok jego pracowni.



Odznaczenie polskiego artysty: Autoportret Józefa Męciny Krzesza.



Odznaczenie polskiego artysty: Pracownia Józefa Męciny Krzesza.

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

9

Poszedł naprzód, pokazując nam drogę; kiedy wstąpiłem na pierwszy stopień schodków, mimowoli spojrzałem na marynarza, stojącego przy sterze. W jego pomarszczonej brązowej twarzy i czarnych jak noc oczach dostrzegłem taki wyraz milczącej groźby, że przystanąłem, jakby mnie ktoś zatrzymał i jeszcze raz dobrze mu się przypatrzyłem.

Weszliśmy do małej kajuty, urządzonej tak, jak zwykle bywają kajuty na takich okrętach. Kapitan wydobył flaszkę wina marsalskiego i talerz biszkoptów, wyjął kilka szklanek z szafy, napełnił je i podał nam, pijąc na naszą pomyślność. Ponieważ zdjął czapkę, mogłem mu się teraz dokładnie przypatrzeć. Miał krogulczy nos, małe oczka i gęste włosy, które w lokach spadały mu aż na ramiona. Ogólnie zaś z powodu dziwnie bladego wyglądu, robił raczej wrażenie jakiegoś kupca z za lady sklepowej, niż prawdziwego marynarza. Najbardziej charakterystyczny był jednak nie opuszczający go drwiący uśmiech, który świadczył o wielkiej zarozumiałości.

Musiałem mu opowiedzieć całą naszą historyę, a kiedy skończyłem, zawołał patetycznie:

— Tak, to wielkie i szlachetne zadanie, służba na łodzi ratunkowej! Dla pana musi ono mieć tem większe znaczenie w obecnej chwili, gdy bez pana pomocy mogła była zginąć ta ładna, młoda dama...

— Odwrotnie kapitanie — przerwałem. — Bez pomocy panny Nilsen już bym z pewności nie żył.

— Nilsen, Nilsen, to przecież angielskie nazwisko.

— Jestem Dunką z pochodzenia, jak mój ojciec — oświadczyła Helga — ale moja matka była Angielką.

— Pan ma kolorowych majtków? — zapytałem.

— Tak, czarnych z wejrzenia i jak przypuszczam, czarnych na duszy. Ale sądzę, że to ostatnie da się uleczyć, zanim przybędziemy do celu naszej podróży.

W tym momencie okręt, który dotychczas kołysał się z boku na bok, został wstrząśnięty nagłem uderzeniem. Zaraz też nad głowami naszymi rozległy się krzyki i tupot nóg biegnących ludzi.

— Żaglowiec uderzył w statek — krzyknęła Helga.

Kapitan skoczył na pokład i zaraz potem usłyszeliśmy jego głos, ale już bez tego ciepło-słodkiego tonu. Klął i wymyślał prawdziwie po marynarsku.

— Dlaczegoście żaglowca nie odepchnęli? Gdzie są bosaki? Mr. Jones, proszę zbadać, czy zostaliśmy uszkodzeni?

— Wszystko w porządku, kapitanie, — zameldował tenże po chwili.

Kiedy i my wyszliśmy na pokład, ujrzeliśmy najpierw Jakóba, który czerwony na twarzy i ociekający wodą windowany był na pokład przez Abrahama i kilku innych marynarzy. Z boku statku sterczał zupełnie rozbity żaglowiec, do którego woda formalnie się wlewała. Jeszcze jedna fala przeszła po nim, poczem zatonął jak kamień; lina łącząca go z naszym statkiem pękła z hukiem.

— Jak się to stało? — wrzasnął kapitan na nieszczęśliwego Jakóba, który stał z opuszczonemi rękami, obraz nędzy i rozpaczy, żywe źródło wody.

— Chciałem właśnie odwiązać linię, aby nasz statek mógł swobodnie odpłynąć i wtedy stało się nieszczęście; jak — nie wiem.

Z rozpaczą spoglądał nieszczęśliwy na Abrahama, który stał, jak skamieniały, na pokładzie, patrząc szklanym wzrokiem w miejsce, gdzie zniknął pod wodą żaglowiec.

— A co teraz chcesz robić? — krzyknął znowu kapitan Bunting.

— Skoczę do morza! — odpowiedział Jakób.

Zbliżyłem się do Abrahama, który nie odzywał się ani słowa.

— To przykra bardzo historya, stary przyjacielu!

— Tak — odmruknął — teraz możemy wracać. Piętnaście funtów mych oszczędności wpakowałem w tę sprawę i wszystko przepadło. A zarobek także! Jakóbie, Jakóbie, jak to było możliwe?

Tylko troska i żal, nie wymówki, brzmiały z tonu jego głosu.

— Nie wiem — naprawdę, nie wiem — odpowiedział Jakób, całkiem złamany. — Oddałbym mój dziesięciokrotny zarobek, żeby to się nie było stało, Abrahamie!

— No, niema co dużo rozprawiać. Obaj pozostaniecie na pokładzie i popłyniecie z nami tak daleko, aż nie będę was mógł wszystkich czworo odesłać do Anglii - zakończył biadania kapitan, poczem wydał rozkaz rozwinięcia wszystkich żagli i okręt popłynął w dal ku południowi.

Kapitan Joppa Bunting.

Tymczasem Abraham przyszedł do siebie po pierwszym przestrachu. Nastąpiła podobna eksplozya jego humoru, jak wtedy, gdy ów statek belgijski nas minął, bezskutecznie wzywany. Kapitan przysłuchiwał się energicznym wymyślaniom Abrahama, wreszcie rzekł zwracając się do mnie:

— Ludzie z Deal są, zdaje się, bardzo nerwowemi naturami.

— Niech mu pan tego za złe nie bierze, kapitanie — prosiłem — przecież to dla niego nieszczęście i bardzo wielka strata. A to biedny chłop!

— Tak, ale tego rodzaju zachowania się nie znoszę na pokładzie. Vise, chodź no pan tu!

Abraham zbliżył się, kołysząc się szeroko na nogach.

— Abrahamie! — zaczął kapitan spoglądając na niego i na Jakóba, który, przemoknięty do ciała, stał ciągle jeszcze przy burcie okrętu. — Dotknął was wypadek losu, który ostatecznie wyszedł wam na dobre...

— A niech dyabli wezmą — przerwał mu Abraham.

— Mimo, iż przez naszą krótkowzroczność nie oceniamy należycie mądrości Opatrzności — kończył kapitan. — Czy ty na prawdę wierzysz w to, że w tej małej, otwartej łodzi, byłbyś dopłynął do Australii?

— Tak — krzyknął Abraham.

— To wykluczone — zagrzmiał kapitan — wy sami, we dwóch? Kto prowadził łódź?

— Ja — odpowiedział Abraham.

— Ty? — rozległa się przeciągła salwa śmiechu.— Niebo pozwoliło prawdziwie na cud, kiedy dopuściło, że wasza barka rozbiła się obok mojego statku, dzięki czemu mogłem wam uratować życie, które w swej bezbrzeżnej głupocie tak lekkomyślnie narażaliście.

— Proszę się zaraz przebrać w suche suknie — dodał kapitan zwracając się do Jakóba — w kajucie możecie się ogrzać i coś zjeść. Przypuszczam, że w zamian za utrzymanie na statku, pomożecie nam trochę. Sternik pokaże wam waszą kajutę.

Nieszczęśliwi towarzysze podróży odeszli powoli.

— Czy ten Abraham rozumie się trochę na żeglarstwie? — zapytał mnie po chwili kapitan.

— Niezbyt wiele; szerokość jeszcze jako tako obliczy. Długość zaś zawsze puszcza mimo uszu, a często ją tylko zgaduje.

— I z takiemi wiadomościami chciał dotrzeć do Australii? Pozatem jest on jednak porządnym człowiekiem, nieprawdaż? Znajduję się bowiem obecnie w dosyć przykrem położeniu. Trzeba panu wiedzieć, że pan Efraim Jones jest moim jedynym sternikiem. Drugi, nazwiskiem Winstanley, który równocześnie był stolarzem, musiał, po wyjeździe na morze, zwaryować, gdyż skoczył do morza i utopił się. Obecnie dzielę się z Jonesem czasem wartowniczym przy sterze, co jest bardzo niewygodne i wyczerpujące dla mnie. Możeby Abraham mógł zająć miejsce Winstanleya?

— Ale przecież on chce wrócić do domu — zauważyłem.

— Chciałbym widzieć takiego dealskiego majtka, który nie dałby się skusić srebrnym dźwiękiem dolarów — uśmiechnął się kapitan.

— Zapewne, kapitanie Bunting, nie przeszkodzi to jednak temu, abyśmy ja i panna Nilsen, mogli przy pierwszej nadarzonej sposobności powrócić do domu? — zapytałem i podziękowałem serdecznie, kiedy zapewnił, że chętnie nam dopomoże. Równocześnie dodałem, że chętnie pokryję wszelkie wydatki z powodu nas poniesione.

— Pan mówi do samarytanina — bronił się kapitan.

Kazał następnie Mr. Jonesowi, aby przygotowano obfitą kolacyę, poczem zajął się spokojnie badaniem horyzontu i kompasu i rozmawiał z jednym z mahoniowych ludzi z załogi.

Kiedy po chwili do nas powrócił, zapytałem go, skąd pochodzi dziwna załoga statku.

— Przeważnie są to malajczycy, jest także kilku syngalezów — odpowiedział. — Zaangażowałem ich dzięki przypadkowi i muszę być z tego zadowolony. Zwykła europejska załoga, którą wziąłem na pokład nad Tamizą, skorzystała z tego, że trzy dni staliśmy na kotwicy w zatoce Dealskiej, zatrzymani przeciwnym wiatrem i pewnej ciemnej nocy uciekła na łodzi ratunkowej. Kiedy biedziłem się nad zebraniem nowej załogi, dowiedziałem się, że w przytułku marynarzy w Dower przebywa malajska załoga w liczbie jedenastu ludzi. Statek, który zabrał ich w czasie jazdy z Ceylonu na Przylądku Dobrej Nadziei, osiadł na mieliźnie i zatonął. Kiedy dowiedzieli się, że jadę ku Przylądkowi, bardzo chętnie zgodzili się jechać ze mną i postawili nawet nizkie warunki. Mam ich więc obecnie, niestety są to sami mahometanie, ale nie tracę nadziei, że nie jedno dobro mnie będą zawdzięczali.

Ostatnie słowa kapitana wydały mi się dosyć zagadkowe.

W tej chwili jednak Jones poprosił nas na kolacyę, nie łamałem sobie też dłużej głowy nad tą sprawą.

Kajuta, do której weszliśmy, przedstawiała bardzo miły widok. Stół nakryty był czysto i zastawiony bogatą wieczerzą. Mimo mroku, który panował w pokoju, gdyż słońce już zaszło, zauważyłem dziwnie błyszczące oczy służącego Punmeamootty. Kapitan rozkazał mu zapalić lampę. Następnie zapytał się Helgi, czy nie chce przed jedzeniem trochę uporządkować toaletę.

— Gdzie panią pomieścimy? — zawołał na głos. — Na dole jest kilka kajut, nie nadają się one jednak dla takiej damy. Najlepiej jeśli Jones odstąpi pani swoją kajutę, a sam będzie mógł spać w kajutach międzypokładowych.

— A gdzie zamieszka p. Tregarthen? — zapytała Helga.

— Trzeba dla niego przygotować którąś z kajut na dole.

— Nie chciałabym być za bardzo daleko od pana Tregarthena — zauważyła Helga — niechętnie przyjmując propozycyę kapitana. Zarumieniła się silnie pod badawczym wzrokiem kapitana, który spoglądał naprzemian na mnie i na nią.

— Panna Nilsen i ja tyleśmy wspólnie w ostatnich dniach wycierpieli, że nic dziwnego, iż pragnie mieć blizko siebie — usprawiedliwiłem Helgę.

— Dobrze, niech i tak będzie — odparł kapitan kiwając ustępliwie ręką. — Tymczasem może pani odświeżyć się w mojej kajucie.

Helga wyszła, ociągając się.

— Dziwię się, że i pan nie pomyślał dotychczas o tem — zwrócił się do mnie — iż taka piękna i młoda dama po szeregu nieprzyjemności i niewygód, jakich doznała, tęskni za tem, aby módz spojrzeć w lustro. Jeśli i pan zechce to samo zrobić — proszę — znajdzie pan wszystko w kajucie Jonesa.

Usłuchałem tej propozycyi i poszedłem do kajuty sternika. Przez małe okienko mogłem rozejrzeć się po całym pokładzie. Po chwili zauważyłem na uboszu Abrahama i Jakóba, którzy z zgnębionemi minami stali przy burcie, zapuściwszy ręce aż po łokcie w kieszenie. Cała prawie malajska załoga stała wokoło nich, wszyscy ubrani w pstre ubiory, jakby pozbierane po tandecie. Jeden z nich przemawiał po cichu, ale bardzo stanowczo, do obu marynarzy, gestykulując przy tem silnie, przy czem oglądał się często za siebie, prawdopodobnie z obawy przed sternikiem.

Nasi dwaj towarzysze nie odpowiadali zupełnie na tę przemowę.

Umyłem się i powróciłem do kajuty, w której drzwiach spotkałem się z Helgą. Wyglądała świeżo i zgrabnie. Wyobrażałem sobie, że jeśli wypocznie po wszystkich obecnych trudach, będzie jedną z najpiękniejszych kobiet, które kiedykolwiek zdobywały serce mężczyzny.

Kapitan usiadł przy górnym końcu stołu i z wielką godnością robił gospodarza domu. Okręt trzeszczał i stękał we wszystkich szparach; stół i nakrycia były jednak dobrze umocowane. Punmeamootty usługiwał nam po cichu. Kiedy kapitan kazał sobie podać szynkę i szeroko rozwodził się nad pożytecznością świni w przeciwstawieniu do krowy, zauważyłem, że nasz malajczyk patrzył podejrzliwie i przysłuchiwał się rozmowie.

Kapitan mówił bardzo dużo, mieszając w rozmowie kwieciste sentencye. Był zadowolony, że ma się przed kim popisywać. Może to niewdzięcznie, jeśli w ten sposób go przedstawiam, ale pragnę dać dokładny obraz tego dziwnego człowieka. Kiedy tak siedział naprzeciwko mnie przy stole i mówił, nie mogłem pogodzić się z faktem, iż mam przed sobą kapitana oceanicznego statku. Zdziwiłem się też niepomiernie, kiedy usłyszałem, że liczy on obecnie czterdzieści cztery lat i od dwunastego roku życia przebywa na morzu.

— Musiał pan widzieć ładny kawał świata — rzuciłem uwagę.

— Prawie niema już rzeczy, dla mnie nieznanych — odpowiedział na to. — Zwiedziłem wszystkie części świata i poznałem wszystkie dziwy i niebezpieczeństwa morza. Dotarłem na pokładzie wieloryb-

bnika do wiecznych lodów, przez siedemnaście tygodni stałem na równiku z powodu ciszy morskiej. Piękny to zawód. Gdyby tylko przy tem nie trzeba pracować na kawałek chleba. Ja sam mógłbym żyć o chlebie i wodzie, ale mam córkę, Judytę, dla której muszę pracować.

— Czy to pana jedynaczka? — zapytała Helga, okazując wielkie zainteresowanie i współczucie.

— Tak, moja jedynaczka, panno Nilsen, dobra bardzo dziewczyna. Zostaje zupełnie sama, gdy ja wyjeżdżam; żona moja zmarła już przed sześciu laty.

Westchnął, mimo to obleśny uśmiech nie zniknął mu z warg.

Na polu tymczasem nastała zupełna noc. Górne okno kajuty wyglądało jak czarna tafla szklana. Zdawało mi się, jakby wiatr silniej świszczał wśród żagli i jak gdyby okręt bardziej się kołysał. Dochodził do nas odgłos zwijanego żagla i jakieś dziwne wycie.

— Jones kazał zwinąć wielki żagiel; barometr jednak nie spada — zauważył kapitan.

— A co to za dziwne tony, jakby skargi — zwróciła się doń Helga.

— Załoga śpiewa przy zwijaniu, ciągnąc linę. Jest to zwyczaj marynarski, jak to pani, panno Nilsen, z własnego doświadczenia dobrze wie.

— Tak, rzeczywiście — zawołałem — panna Nilsem zna się doskonale na zawodzie żeglarskim.

— Proszę, niechże mi pani opowie, co pani umie. Ciekawi mnie to bardzo, gdyż wiadomości takie u kobiety są wielką rzadkością.

— No, tak — odpowiedziałem za Helgę. — Umie prowadzić okręt, sterować, wspinać się po masztach i rejach jak najzwinniejszy marynarz, umie odbywać wartę, mierzyć wysokość i oznaczać położenie okrętu na mapie, nieprawda Helgo?

— Pan żartuje — zauważył kapitan, drgnął jednak, kiedy usłyszał, że mówię młodej dziewczynie po imieniu.

— Nie, nie, to prawda. Ratunek nasz zawdzięczamy jej zdolnościom i jej odwadze. Niech Bóg cię nagrodzi, Helgo i da nam szczęśliwy powrót do ojczyzny!

— Ależ, nie powinno się państwu tak bardzo spieszyć — wtrącił kapitan, zwracając się z uśmiechem do dziewczęcia. — Chciałbym spróbować, czy nie udałoby mi się pozyskać panią dla „Światła świata". Byłby z pani doskonały sternik.

W oczach Helgi zauważyłem błysk tej samej niechęci i odrazy, jaki już kilkakrotnie spostrzegłem, gdy kapitan zwracał się do niej ze swymi żartami. Czyżby delikatny jej zmysł kobiecy odgadywał poza nimi coś więcej? Mnie wydawały się one dosyć niewinne.

Helga nie odpowiedziała nic na zaczepkę kapitana, a ponieważ już dosyć długo siedzieliśmy przy stole, spojrzałem na zegarek.

— Pani pewnie zmęczona — Helgo; — zechcesz wcześniej udać się na spoczynek. Jest trzy kwadranse na siódmą.

— Pnumeamootty, zawołać tu Nakira — rozkazał kapitan Bunting. — Czy pani nie da się namówić, abyś zamieszkała w kajucie Jonesa, panno Nilsen! Przecież tamby się pani o wiele wygodniej i lepiej czuła.

— Dziękuję! nie! wolę pozostać blizko pana Tregarthena.

— O ty szczęśliwcze! — zwrócił się do mnie kapitan, śmiejąc się.

Przed wybuchem.

Po chwili zjawił się ten, który nosił imię Nakira i pokłonił się po turecku, zginając się głęboko w pół i przykładając obie ręce do czoła. Poznałem w nim tego, którego widziałem, jak przemawiał do naszych dwu marynarzy. Mimo wybitnie oryentalnego typu wyglądał bardzo ujmująco. Rysy twarzy miał bardzo regularne, nos orli, pięknie zakrojony, oczy błyszczące, małe uszy, ozdobione grubemi złotemi kołami, usta rozchylone ukazywały szereg białych równych zębów. Można go było uważać za bardzo przystojnego. W ręce trzymał starą czapkę żołnierską; ubrany był bardzo skromnie w bluzkę, czerwoną koszulę i białe spodnie płócienne, które przytrzymywał szeroki pasek. Za pasem zatknięty nosił wschodni sztylet.

— Dwie dolne kajuty proszę przygotować dla naszych gości — oświadczył mu kapitan. — Wybrać kilku ludzi do uprzątnięcia i proszę samemu nadzorować uporządkowanie.

— Stój! jeszcze jedno! — zawołał w chwili, gdy tamten zabierał się do opuszczenia kajuty. — Czy jedliście dzisiaj obiad?

— Nie, panie!

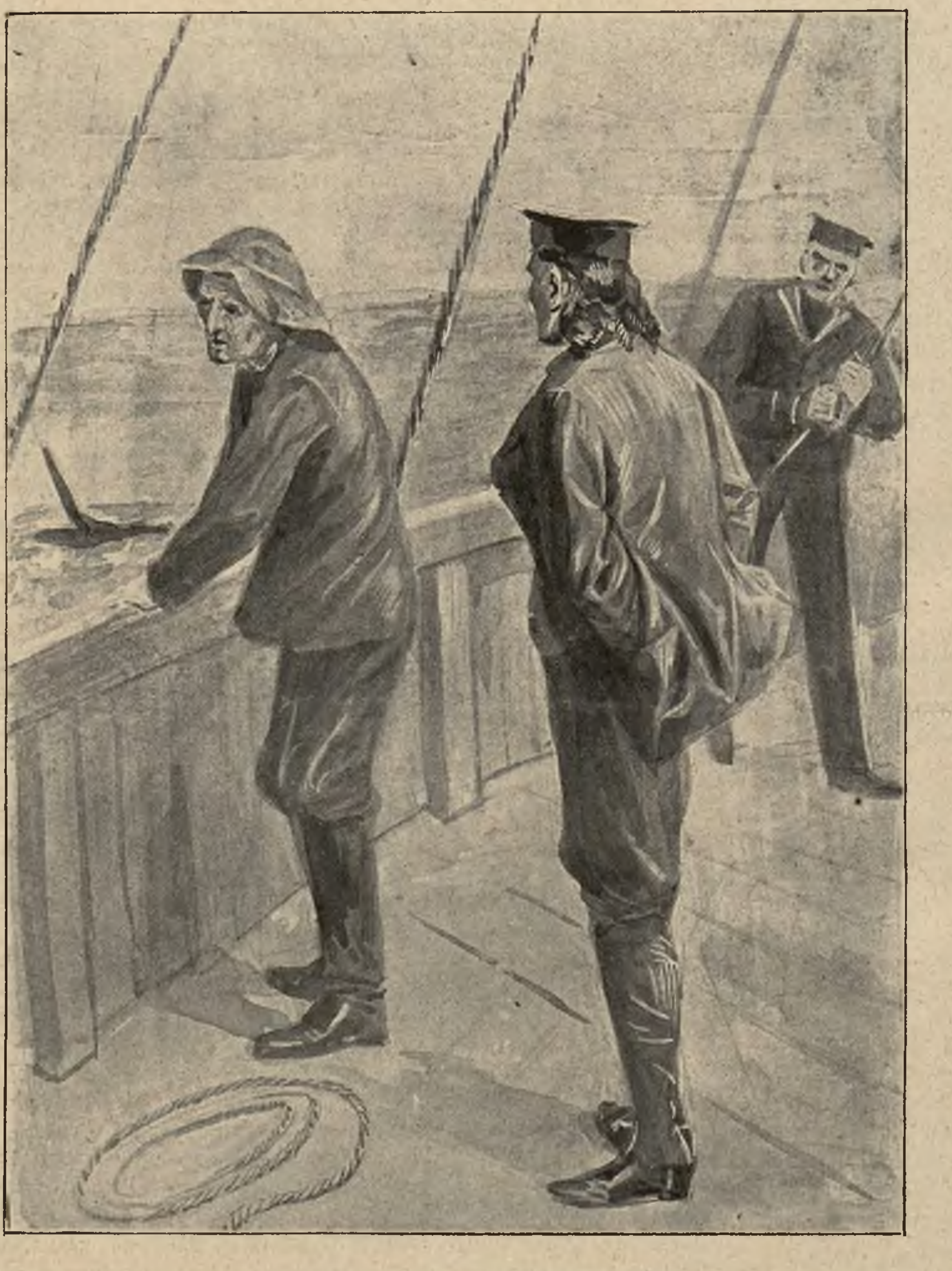
— Cóżeście z nim zrobili?

— Wyrzuciliśmy do morza, panie!

— Do morza? Doskonałą zupę grochową i taką ładną wieprzowinę? Trzeci raz!

Jeśli się to jeszcze raz stanie, będę zmuszony pozbawić was zupełnie jedzenia mięsa.

— My nie wolno jeść mięso świni, my być muzułmanie, panie — odpowiedział Nakir. — Kapitan jednak przerwał mu energicznym gestem, nie dopuszczając do dyskusyi; Nakir oddalił się w milczeniu, spojrzał tylko wymownie na mnie, jakby w moim wzroku szukał dla siebie obrony i poparcia.



— Skoczę do morza! — odpowiedział Jakób.

Pnumeamootty sprzątał tymczasem ze stołu, opanowując siłą woli swe wzburzenie. Oczy jego rzucały tylko błyskawice gniewu ku nam.

Kapitan nie miał jednak widocznie zamiaru już wstawać od stołu. Spokojnie pozostał dalej na swojem miejscu.

— Ładny chłop, ten Nakir, nieprawdaż? — zagadnął. — Jest on przodownikiem moich Malajczyków i zajmuje stanowisko starszego majtka.

— Pański zamiar, aby tych muzułmanów nawrócić, jest bardzo niebezpieczny, kapitanie Bunting. Nie mówię tego wprawdzie z własnego doświadczenia, ale słyszałem i czytałem, że niema bardziej podstępnej i fanatycznej ludności, jak Malajczycy.

— Cicho! — szepnęła Helga, oglądając się na usługującego nam majtka.

Kapitan zawołał na Pnumeamootty'ego, który bez szelestu prawie wysunął się z ciemności na jasny krąg światła. Kazał mu zejść na dół do innych marynarzy. Następnie wyciągając się wygodnie w fotelu, zwrócił się do mnie.

— Ma pan zupełną racyę, Malajczycy są istotnie nieobliczalni. Między nimi też często wybuchają choroby mózgowe.

Na zapytanie Helgi opowiedział o różnych formach obłędu, występujących u szczepów wschodnich, zwłaszcza szeroko rozwodził się nad takimi chorymi, którzy dostając obłędu przejawiającego się w ten sposób, że chory dobywszy swego ostrego noża pędzi przez ulice, napadając i kalecząc każdego, kto mu w drodze stanie.

— Tem bardziej tedy należy starać się z nimi dojść do ładu — zauważyła Helga.

— Ależ, przecież trzeba ich oduczyć ich zabobonów — zapalał się kapitan.

— Przypuszczam, że pan swoją misyę apostolską chce zacząć od jedzenia? — zauważyłem.

— Tak jest — odpowiedział. — Chcę ich zmusić, aby jedli wieprzowinę i przypuszczam, że powoli nabiorą do niej przekonania. W ten sposób uczyniłbym pierwszy wyłom w ich przesądach.

— W gorących krajach zakaz spożywania wieprzowiny ma swoje podstawy we względach zarówno religijnych, jak i zdrowotnych. Zdaje się, że pan dotychczas ze swemi próbami apostolstwa nie wielkie miał powodzenie?

— Nie! te darmozjady! Czy to słyszane, aby doskonałe jedzenie, którem mogłaby żyć cała rodzina przez tydzień, wyrzucać za burtę? Pewnie objadają się dzisiaj sucharami. Ale ja ich zmuszę głodem do posłuszeństwa. Od dzisiaj nie dostaną już zupełnie mięsa!

Kapitan, pomimo całej swej otwartej gościnności, zaczynał coraz bardziej robić na mnie wrażenie bardzo niesympatyczne. Zauważyłem, że mam do czynienia z człowiekiem, który, jako członek sekty purytańskiej, przebierał miarę z niecierpliwości. A Bunting specyalnie odznaczał się dziwnem usposobieniem.

— Czy pan zna się na żeglarstwie, panie Tregarthen — zwrócił się po chwili do mnie. — Czy mógłby pan objąć straż na okręcie?

— Pełnić służbę wywiadowczą potrafię — odpowiedziałem — ale na prowadzeniu statku zupełnie się nie znam.

— No, to musi pomódz Abraham Vise.

Kazał go zawołać, a my oboje uradowaliśmy się, ujrzawszy dobroduszną twarz Abrahama. Helga zerwawszy się, podbiegła do starego i podała mu gorąco rękę, ja dopytywałem się o Jakóba.

— O, już się ma wcale dobrze, panie. Nie możemy tylko obaj jeszcze ciągle zdać sobie sprawy z tego, co się stało.

— Jak wam dano jeść Abrahamie? — zapytał kapitan.

— Bardzo dobrze, kapitanie. Dostaliśmy duże porcye wieprzowiny. Nasz czarny kucharz strasznie się krzywił, gdy musiał koło niej chodzić.

— A więc, Abrahamie, wszystko w życiu opiera się na wzajemności. Potrzebuję drugiego sternika. Za pożywienie, jakie wam daję, pragnę, abyście wy ten urząd objęli.

— Najchętniej to pragnąłbym się dostać do domu — odpowiedział Abraham. — Jak długo jednak będę na statku, tak długo nie cofam się przed żadną pracą.

— Bardzo mądrze! — odpowiedział kapitan. — Proszę się więc namyślić. Jeśli zechcecie u mnie zostać, dam wam tę samą pensyę, jaką miał Winstanley t. j. cztery funty na miesiąc, na przeciąg całej podróży.

— W ciężkich czasach — Abraham podrapał się za uchem — zmienia to postać rzeczy.

— Chciałbym jednak — dodał — omówić tę propozycyę z moim towarzyszem.

— Owszem, proszę bardzo! Jeśli on zechce, przyjmę go za zwykłem wynagrodzeniem. Odpowiecie mi jutro. Dzisiaj jednak musicie już objąć średnią straż nocną.

— Owszem panie! — odpowiedział Abraham. — Ale jak sobie radzić z tymi dzikimi? Czy rozumieją oni komendę?

Ciąg dalszy nastąpi.

Zgon zasłużonego kapłana.

Przed kilku dniami kościół św. Krzyża w Warszawie został osierocony. Zmarł długoletni jego wikaryusz, a potem zarządca, ks. Piotr Władysław Michalski, kanonik katedralny i asesor konsystorza metropolitalnego warszawskiego.



Zgon zasłużonego kapłana: Ś. p. ks. Piotr Władysław Michalski, zarządca kościoła św. Krzyża w Warszawie.

Zmarły pozostawił po sobie pamięć człowieka czynu, pełnego poświęcenia i ofiarnej pracy dla społeczeństwa. Ogólnie szanowany, cieszył się wielką popularnością zarówno w sferach duchownych, jak i obywatelskich.

Pogrzeb jego odbył się bardzo uroczyście. Główne nabożeństwo odprawił ks. biskup Ruszkiewicz. Podniosłe kazanie okolicznościowe wygłosił ks. kanonik Chełmicki. Orszak pogrzebowy prowadził ks. prałat Łyszkowski w otoczeniu kanoników kapituły sejneńskiej, warszawskiej i łowickiej oraz ogromnego zastępu duchowieństwa. Zwłoki złożono w grobie rodzinnym na cmentarzu powązkowskim.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę zmarłego kapłana.

Z żałobnej karty.

Przed kilku dniami stracił Lwów jedną z najpopularniejszych swych postaci. W 65 roku życia zmarł nagle kapelmistrz 30 p. p. ś. p. Karol Roll. Znał on przynajmniej pół Lwowa, a Lwów znał go cały, oklaskując go nieraz na koncertach, przedstawieniach i t. p. Wytrawny muzyk, dobry kompozytor, z orkiestry swej, z swych „lwowskich dzieci", zrobił doskonały zespół, który potrafił podołać niejednemu trudnemu zadaniu.

Wiadomość o jego zgonie, tak niespodziewanym, poruszyła cały Lwów i wywołała szczery żal w szerokich kołach. Dowodem tego był olbrzymi kondukt pogrzebowy, oraz stosy wieńców, którymi pokryto trumnę.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę zmarłego kapelmistrza.



Nowy arcybiskup warszawski: Ks. Aleksander Kakowski.

Nowy arcybiskup warszawski.

Według nadeszłych z Rzymu do pism wiadomości, osierocona po śmierci arcybiskupa Popiela stolica biskupia warszawska otrzymała nowego pasterza. Bullą papieską został mianowany arcybiskupem warszawskim ks. Aleksander Kakowski, rektor Akademii duchownej w Petersburgu.

Urodzony w r. 1862 w Dębinach w powiecie przemyskim, kształcił się w Pułtusku i w Warszawie. W r. 1878 wstąpił do seminaryum duchownego



Przesilenie namiestnikowskie w Galicyi: Nowy namiestnik dr. Witold Korytowski.

w Warszawie, a w r. 1882 przeszedł do Akademii w Petersburgu. Kształcił się następnie w Rzymie w uniwersytecie gregoryańskim, gdzie uzyskał dyplom doktora praw.

Wyświęcony w r. 1886 został wikaryuszem u św. Andrzeja w Warszawie, następnie zaś profesorem seminaryum warszawskiego. Przechodząc następnie różne stopnie godności kościelnych, został w r. 1910 rektorem Akademii duchownej w Petersburgu.

Poza pracą kapłańską nowy arcybiskup warszawski jest autorem szeregu cennych rozpraw z zakresu prawa kościelnego i polskiego.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę nowego arcybiskupa.



Jubileusz pracy literacko-artystycznej: Uczestnicy obchodu jubileuszowego Józefa Kotarbińskiego w Resursie kupieckiej w Warszawie z jubilatem i jego małżonką w pośrodku.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Kończąc poprzednią kronikę ani nawet przypuszczałem, że król Mikołaj Czarnogórski sprawi nam taką miłą niespodziankę!

Wpakował się starowina do Skutari, które rzeszowskim targiem nabył od Essada-baszy i zapowiedział, że go stąd niczem nie wykurzy, tymczasem stało się inaczej! Hrabia Berchtold wziął, jak to mówią, na ambit i oświadczył, że dłużej sobie po nosie grać nie pozwoli, teraz pora, aby armaty przemówiły.

Każdy z nas był pewnym, że nadszedł czas, w którym przyjdzie bronić granic naszej c. k. ojczyzny, nawet, nie chwaląc się, ja sam w swej własnej osobie przygotowałem dwa pistolety i miecz ojców, którym postanowiłem się rozprawić ostatecznie z krnąbrnymi sąsiadami. Nie omieszkałem o tem zawiadomić telegraficznie króla Mikołaja, aby potem nie mógł narzekać, że napadliśmy go niespodzianie.

Ta gotowość do boju widocznie go przekonała i dlatego to Europa otrzymała pewnego pięknego poranku radosną wieść, że Czarnogórcy ustępują przed wolą mocarstw, opuszczają z całym żywym i martwym inwentarzem Skutari i oddają je do dyspozycyi, zastrzegając sobie tylko prawo do własności zdjęć kinematograficznych z wymarszu i wkroczenia wojsk europejskich, które jednak jakoś się nie spieszą.

Odetchnęliśmy całą piersią, odetchnął także i król Mikołaj, który dość już obłowił się, grając szczęśliwie na giełdzie.

I tem właśnie tłumaczy się ta zmienność postępowania Czarnogórza, które sprawiało Europie raz po razu niespodzianki, król Mikołaj bowiem w ten sposób prowadził politykę, jak mu było potrzeba ze względu na wahania giełdowe. Na nich zarobił, jak powiadają, około dwudziestu milionów.

Jeśli dodamy do nich owe trzydzieści, które mocarstwa mają wypłacić za ustąpienie ze Skutari, to chyba nikt się nie zdziwi, że królowi zmiękło serce... Pięćdziesiąt milionów piechotą nie chodzi, lepiej chwytać za nie, niż narażać się na niepewne losy wojny...

Tryumfuje też i hr. Berchtold i śmieje się z austryackich polityków, którzy mu zarzucali brak fachowego wyszkolenia i zaprasza ich do siebie do terminu. Kto wie, czy i ja się tam nie wybiorę, gdyż bratem udział w ogólnym chórze niezadowolonych, a dziś widzę, że nie miałem racyi, czyli, innemi mówiąc słowy, jestem kiepskim dyplomatą, skoro nie potrafię rozeznać, co w trawie piszczy.

Wojna bałkańska skończona więc definitywnie, chyba, że będziemy mieć znowu jakie niespodzianki, ale... nie wywołujmy niepotrzebnie wilka z lasu.

Wobec tego, że Anioł pokoju zamienił miecz na różdżkę oliwną, Zielone Święta byłyby przeszły bardzo wesoło, gdyby nie... nowa niespodzianka.

Na ten czas przypadają tak zwani *Eismännerzy*, to jest święci Pankracy, Serwacy i Bonifacy, darzący nas corocznie zimnem. Tego roku spisali się nielada, nie tylko bowiem było zimno, ale nawet i biały śnieg pokrył pola i łąki i już zdawało się, że tradycyjną wycieczkę na Bielany trzeba będzie odbyć we futrze i saniami.

Wypogodziło się wprawdzie, zimno jednak utrzymało się przez oba dni świąteczne, nic też dziwnego, że na Bielanach nie było ani połowę tyle pątników, co po inne lata. A i tych, którzy tam poszli, pojechali lub popłynęli, czekała niemiła niespodzianka, nie było czem się rozgrzać, gdyż tego roku zapanowała tu niepodzielnie Eleuterya i prócz herbatki i kawy innej wilgotności nie uświadczyłeś. Padał wprawdzie deszcz, ale nikt go chyba nie pragnął.

To też kawalerowie, którzy tu się znaleźli, nie okazywali bynajmniej fantazyi, szczęśliwym czuł się ten, kto z Krakowa przywiózł jaką taką flaszczynę...

W samem mieście w oba dni Zielonych Świąt nie brakło także rozmaitości, już choćby z tego powodu, że w tym czasie bawi zawsze nad Wisłą wielu obcych, chcących poznać osobliwości naszego grodu.

W bieżącym roku mieliśmy w Zielone Święta oktawę świętego Stanisława z odpustem na Skałce, więc kobiet polskich, żywy dziennik i wyścigi, brakło tylko dnia kwiatka, ale ten odbędzie się już czternastego maja, t. j. we środę, gdy „Nowości Illustrowane“ będą zupełnie gotowe.

Dłuższą wzmiankę poświęcić muszę owemu wiecowi, już choćby z tego tylko powodu, iż dzięki niemu przez trzy dni z rzędu nie mógł człowiek zjeść w domu obiadu, gdyż czcigodna małżonka wraz z córkami brała czynny udział w obradach i od rana do wieczora bawiła za domem. Skorzystała z tego naturalnie i służąca i ze swym bratem, który tego roku służy przy artyleryi (w ubiegłym był dragonem, dwa lata temu zwykłym piechurem...) wybrała się w niedzielę na Skałkę, skąd przyniosła sobie ogromne serce z piernika, w poniedziałek zaś parostatkiem na Bielany...

Ognisko domowe wygasło więc zupełnie, trzeba się było rozgrzać w sztuczny sposób na mieście, w niedzielę tradycyjnymi flaczkami, w poniedziałek czemś podobnem. Trzeba było jednak się spieszyć, obcy bowiem turyści, zmęczeni wędrówką po mieście, szturmem zdobywali stoliki i krzesła w lokalach śniadańkowych i restauracyach.

Dla obcych trzeba być uprzejmym, gniótł się więc człowiek, gdzie mógł w kącie, kontent, jeśli udało mu się zdobyć bombkę, lub coś, czemby mógł zaspokoić swój głód.

Wieczorem, naturalnie później niż zwykle, spotkała się dopiero rodzina przy wygasłem ognisku domowem, do którego na gwałt dokładano paliwa, aby rozgrzać skostniałe członki i zagotować bodaj herbatę...

Wywiązała się przy tej sposobności mniej więcej taka rozmowa:

— No i jakże tam udał się wasz wiec?

— Doskonale! Nie masz pojęcia, jaki wspaniały kapelusz miała Trajkocka... Powiadam ci, że tym babom z prowincyi, które przybyły do Krakowa, o mało ze zazdrości nie powyłaziły ślepia!... Muszę sobie sprawić taki sam... Albo ta Użyralska!... Nie pojmuję, jak żona urzędnika dziewiątej rangi może sobie na coś podobnego pozwolić... Chyba, że...

— Dajże spokój, koteczku, nie obmawiaj bliźnich, bo z tego podobno pypeć wyrasta na języku...

— Już wyjeżdżasz z tymi głupimi żartami!

— Ależ, to nie żarty, ja mówię całkiem seryo! Jakie następstwa może mieć zbyt forsowne gadanie, odczuła na sobie owa niewiasta, którą mąż przyprowadził onegdaj na stacyę ratunkową... Dotąd obracała językiem, aż się wreszcie popsuły zawiasy ustne i nie mogła zamknąć buzi... A i ona także opowiadała mężowi o swych przyjaciółkach... Wracając jednak do rzeczy, chciałbym wiedzieć, coście tam uradziły?

— Albož ja wiem?... Ja przez cały czas rozmawiałam ze sąsiadką... Nie masz pojęcia, co za miła kobieta... Jak ona zna cały Kraków, nie tylko tę ulicę, przy której mieszka... opowiadała mi...

— Dziękuję... nie jestem wcale ciekawy... Wolałbym dowiedzieć się o przebiegu obrad...

— Będzie o tem w gazecie, można się stamtąd dowiedzieć... Ja także jestem ciekawa, jakie zapadły rezolucye... Domyślam się zresztą, że...

— Naturalnie, narzekałyście na upośledzenie płci nadobnej, która musi piec się przy ogniu, aby małżonek miał na czas obiad, psuć sobie oczy, cerując jego skarpetki, denerwować zajmowaniem się wychowaniem dzieci. Nowoczesna kobieta stworzoną jest do wyższych celów... Wiem o tem, że nic innego mi nie powiesz...

— Myślę sobie!... Czas waszej tyranii już się skończył, musimy zdobyć sobie te prawa, które nam się należą... A, że nie ustaniemy w walce, choćbyśmy miały wystawić nawet brygadę konnych amazonek, tak, jak nasze koleżanki w Ameryce, tego możesz być pewnym!

— Oczywiście, że moja pani wie o tem, co się dzieje w Ameryce, bo to ją więcej obchodzi, niż na przykład, czy też biedny małżonek jadł dziś obiad!

— O to ja się nie boję! Już ja wiem, jacy wy jesteście wygodni! O dobrem zjedzeniu i wypiciu żaden z was nie zapomni... Ale żonie, to odmawiacie wszystkiego!... Chcielibyście mieć z niej niewolnicę, któraby świat cały widziała tylko w czterech ścianach domu... Dzięki Bogu, świat cywilizowany już się inaczej na tę kwestyę zapatruje, niż wy, zacofańcy... Powiedz sam, czy my nie jesteśmy ulepione z tej samej gliny, co i wy?...

— Pewnie! Wiedz jednak, że z gliny robi się różne naczynia, służące do takiego lub owakiego użytku... Zupełnie tak samo musi być i w życiu... Zakres działalności kobiety jest innym, mężczyzny innym... Co warte ognisko i życie domowe, jeśli kobieta odeń ucieka, a chce się bawić w politykę?... Kto zajmie się wychowaniem dzieci, tej naszej nadziei na przyszłość?...

— Oho!... Już zaczynasz znowu z tej samej beczki, co zwykle?... O dzieci żadna z nas się nie prosi... Wychowaniem ich zająć się mogą mężczyźni... Pobiję cię twą własną bronią... I tu podział pracy!... Ja wydałam je na świat, ty zajmij się ich wychowaniem!

— Ba! Ależ ja nie mam czasu!... Ja muszę iść do biura!...

— Ja także!... Na zgromadzenie, odczyt...

— Z tą jednak różnicą, że o pieniądze na utrzymanie domu mam ja się starać, nie ty!

— Nie zawracaj mi głowy!... Nie przekonasz mnie! Najlepiej zrobisz, idąc spać, stary nudziarzu...

W ten mniej więcej sposób kończą się tego rodzaju dyskusye małżeńskie, w których pani domu powinna mieć z zasady ostatnie słowo, gdyż w przeciwnym razie popada w irytacyę, a wówczas, jak sama mówi: nie ręczy za siebie!

Zupełnie tak samo postępują angielskie sufrażystki, wyprowadzone z równowagi umysłowej przez mężczyzn. Niema prawie dnia, abyśmy nie usłyszeli o jakimś zamachu dynamitowym. Dotąd szczególnymi ich względami cieszyły się dworce kolejowe, teraz zabierają się do kościołów i teatrów. A gdzie powód?... Powiadają, że uporem mężczyzn są zdenerwowane, więc nie odpowiadają za swe czyny.

Gdyby tak Anglicy chcieli mnie posłuchać i urządzili bodaj jednoroczny strejk „od kobiet“, w czasie którego nie zawartoby ani jednego związku małżeńskiego, a równocześnie w istniejących, żaden, tak zwany „pan domu“ nie dałby ani złamanego pensa na utrzymanie, wojowniczym paniom zmiękłaby rura. To pomogłoby skuteczniej, niż najcięższe nawet kary więzienne, których wykonać nie można z powodu głodówek...

Ze mnie zaś warto czasem posłuchać, to doświadczył tego na sobie minister dla Galicyi, excellencya Długosz.

W porannym numerze *Czasu* z dnia 14. maja czytaliśmy, co następuje:

„Dowiaduję się, że minister Długosz zgłosił dymisyę. Powodem być ma, że o nominacyi dra. Korytowskiego namiestnikiem Galicyi dowiedział się dopiero *ex post*“.

Gdyby excellencya czytywał pilnie *Nowości Illustrowane*, w szczególności zaś kronikę, byłby zaraz na początku przesilenia namiestnikowskiego wyczytał, że na następcę dra. Bobrzyńskiego upatrzony jest ex minister Korytowski. Dodaliśmy wówczas, że tak powiadają nasi synowie Izraela, a oni zazwyczaj najlepiej są w tego rodzaju kwestyach politycznych poinformowani.

Niechajże więc excellencya sam sobie winę przypisze.

W ten więc sposób załatwiliśmy przesilenie bałkańskie wraz z wszystkiemi jego odmianami, potem przesilenie namiestnikowskie, a gdy dodamy do tego, że i wybory sejmowe pójdą, jak po maśle, to otrzymamy wiązkę faktów, z których można wywróżyć, że politycy i dyplomaci będą mieć zasłużone a spokojne wakacye w tym roku.

Oby tylko nie rozwiązano tymczasem parlamentu, gdyż dyetki poszłyby spać, a bez nich wakacye dyabła warte.

Na zakończenie schowałem sobie wiadomość, która powinna zupełnie zmienić dotychczasowy nasz sposób życia. Zaczerpnąłem ją, jak zwykle, z *Illustrowanego Kuryerka* (Nr. 108).

Wyczytałem tam, że wynaleziono, nie wiadomo jednak gdzie, sztuczne mleko, które swymi składnikami i zaletami nie różni się niczem od krowiego, łatwiej się nawet od niego gotuje. Z mleka tego można robić znakomite sery, tylko masło się nie udało.

Głównym materyałem roślinnym, używanym do produkcyi sztucznego mleka, jest miejscowy, albo japoński bób...

Znamy dobrze zalety bobu, jego wartość odżywczą i energię, powiedzmy „wybuchową“, jakoś jednak nie może mi się to pomieścić w głowie, aby mleko „bobowe“, mogło zastąpić zwykłe krowie...

Przesilenie namiestnikowskie w Galicyi.

Przesilenie polityczne galicyjskie, wywołane rozbiciem rokowań o reformę wyborczą do Sejmu, zakończyło się rozwiązaniem Sejmu i ustąpieniem namiestnika dra Bobrzyńskiego. Przez kilkanaście dni dzierżył do końca roku 1908. Był od szeregu lat posłem parlamentarnym i sejmowym. Nowy namiestnik jest konserwatystą i uchodzi za objektywnego i bezstronnego zwolennika reformy wyborczej.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę nowego kierownika życia politycznego Galicyi.

Uroczystość jubileuszowa zgromadziła wielkie grono osób w salach Resursy. Pierwszy składał Kotarbińskiemu życzenia Ignacy Baliński, następnie zaś kolega jubilata, Mieczysław Frenkiel. Po nim serdecznie przemówił Michał Tarasiewicz.

Wzruszony Jubilat gorąco dziękował za dowody uznania. Na zakończenie odczytano stosy depesz i listów. W prześlicznych słowach złożył życzenia „Kochanemu Józefowi" Henryk Sienkiewicz.

Przedmiotem serdecznych owacyi był także Kotarbiński na przedstawieniu jubileuszowem w teatrze warszawskim.



Zielony Karnawał: Odjazd statku z Krakowa na Bielany.



Zielony karnawał: Furką z Krakowa na Bielany.

trwały rokowania o jego następcę. Przypuszczano, że będzie nim jakiś wyższy urzędnik, który władzę obejmie tylko prowizorycznie. Tymczasem w ostatniej chwili rząd, ogłaszając rozwiązanie Sejmu galicyjskiego, ogłosił równocześnie nominacyę nowego namiestnika, nie prowizorycznego, ale stałego, mianowicie dra Witolda Korytowskiego.

Nowy namiestnik, urodzony w r. 1850, wstąpił do służby państwowej w r. 1875. W r. 1880 został urzędnikiem w ministerstwie skarbu, gdzie wnet powierzono mu poważne stanowisko.

W r. 1891 został po ustąpieniu Dunajewskiego wiceprezydentem dyrekcyi skarbu. W czerwcu 1906 r. objął w gabinecie bar. Becka tekę skarbu, którą

Jubileusz pracy literacko-artystycznej.

W tych dniach czciła Warszawa uroczystym obchodem jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy literackiej i scenicznej byłego dyrektora teatru krakowskiego, p. Józefa Kotarbińskiego.

P. Kotarbiński należy do tych ludzi, znanych i cenionych, którzy w całej pełni rozwinęli świetne tradycye Szkoły Głównej Warszawskiej. Przez pół wieku swej pracy literackiej i scenicznej stał niewzruszenie przy ścisłem przestrzeganiu obowiązków Polaka-obywatela.

To też w dniu jubileuszu pospieszono ze wszystkich stron Polski, aby złożyć hołd Jubilatowi.

Zielony karnawał.

Zielony karnawał rozpoczął się w całej pełni... Wprawdzie w tym roku pogoda w Zielone Swiątki nie bardzo dopisała, pomimo tego jednak nie brakło w dni te ochoty do majowo-karnawałowej zabawy... Zarówno w Warszawie, jak i w Krakowie liczne



„Ogniem i Mieczem": Dalmatyński port Cattaro, austryacka placówka na granicy Czarnogóry.



Zarząd Warsz. Tow. wyścigów śledzi jeden z najciekawszych biegów.



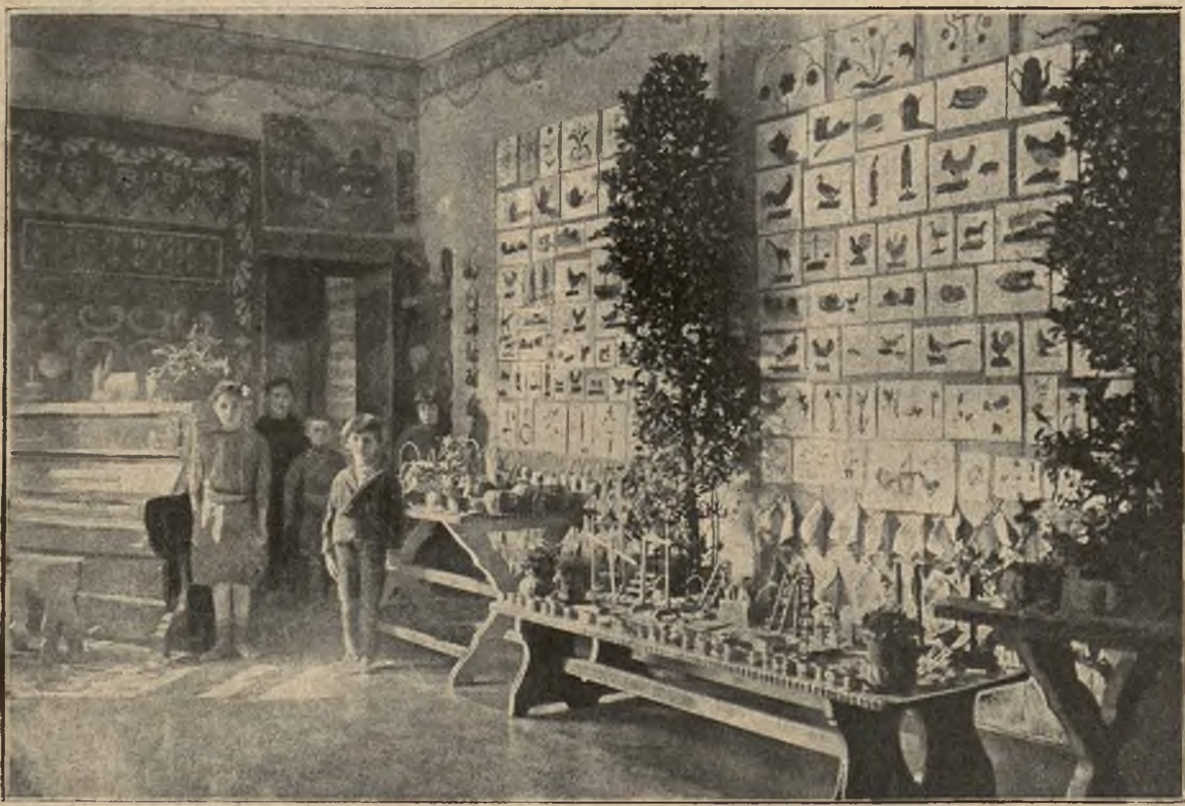
Zielony karnawał: Wyścigi w Warszawie. Hr. M. Zamoyscy sprzedają podczas wyścigów kwiatek na rzecz zakładu św. Win. á Paulo.



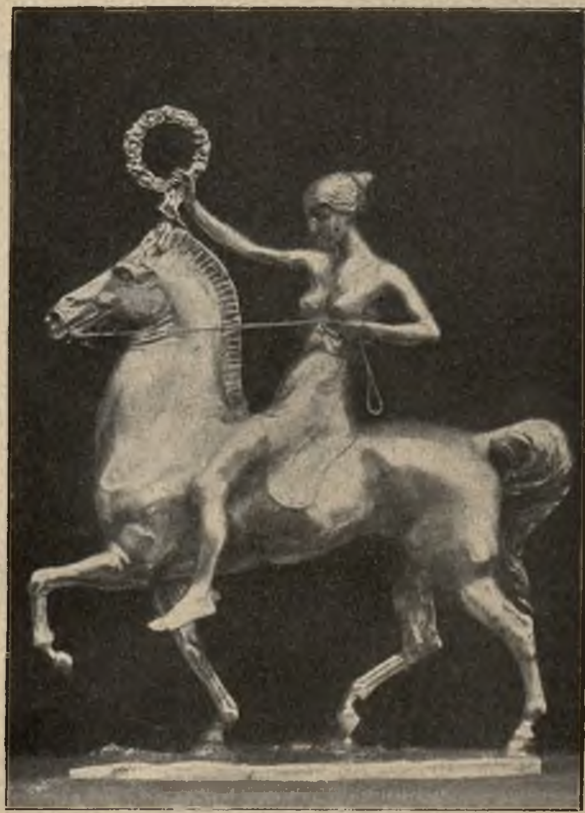
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa). Artystki teatrów warszawskich śledzą z zajęciem przebieg wyścigów.

tłumy spieszyły — zgodnie z tradycyą — na Bielany. Nie próżnowały również najrozmaitsze stowarzyszenia sportowie, składając każde na swój sposób daninę zielonemu karnawałowi... Rojno i gwarno było również na torach wyścigowych... Niezliczone tłumy przypatrywały się z zajęciem biegom i... zgrywały się w totalizatora...

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć z zielonego karnawału w Krakowie i Warszawie, a mianowicie epizody z wycieczek Krakowian na Bielany, kilka momentów z wyścigów warszawskich oraz fotografię pierwszej nagrody na odbytym w drugi dzień Zielonych Świątek konkursie hippicznym w Krakowie. Jest to figura Amazonki, wykonana przez artystę-rzeźbiarza prof. Raszkę.



Nowoczesna szkoła: Wystawa prac uczniów i uczenic szkoły p. Okołowiczówny w Krakowie.



Zielony karnawał: Figura amazonki ze srebra, wykonana przez prof. Raszkę — dar cesarza Franciszka Józefa dla zdobywcy pierwszej nagrody na konkursie hippicznym w Krakowie.

Nowoczesna szkoła.

Oazą możnaby nazwać to piękne i miłe mieszkanie przy ul. Pańskiej w Krakowie, w którem p. Stanisława Okołowiczówna urządziła dla dziatwy „lekcye zbiorowe w zakresie szkół ludowych“.

To nie jest „szkoła“, której banalny szablon



Nowoczesna szkoła: Lekcya gimnastyki rytmicznej w szkole p. Okołowiczówny w Krakowie.



Z żałobnej karty: Zmarły we Lwowie ś. p. Karol Roll, kapelmistrz, 30 p. p.





Straszna śmierć akademika: Sekcya zwłok akademika Aleksandra Kłocznika, który rzucił się pod pociąg na stacyi w Chyrowie.

każdą żywszą indywidualność, każdą myśl samodzielną zabić się stara. To drugi dziecka „dom“ — dom piękny, jasny, wesoły, — gdzie dziecko jest swobodne i radosne. gdzie mu wolno być sobą.

Pod względem hygieny zaczynamy się tu już także zbliżać do ideału „szkoły przyszłości“. Każde dziecko n. p. z początkiem każdego roku szkolnego poddaje się badaniom lekarskim: bada się słuch jego, wzrok i t. d. Ażeby mieć zatem stały nadzór nad rozwojem władz dziecka i ich stosunkiem wzajemnym — urządza się tu co miesiąc ważenie i mierzenie wzrostu wszystkich dzieci.

Umiejętnie dobrane grono pedagogów częstem porozumiewaniem się między sobą osiąga cel dokładnego poznania dzieci i współpracy nad niemi — a urządzaniem „konferencyj rodzicielskich“ dążyć pragnie do osiągnięcia tak nieodzownego w wychowaniu dzieci środka, jakim jest współdziałanie domu ze szkołą.

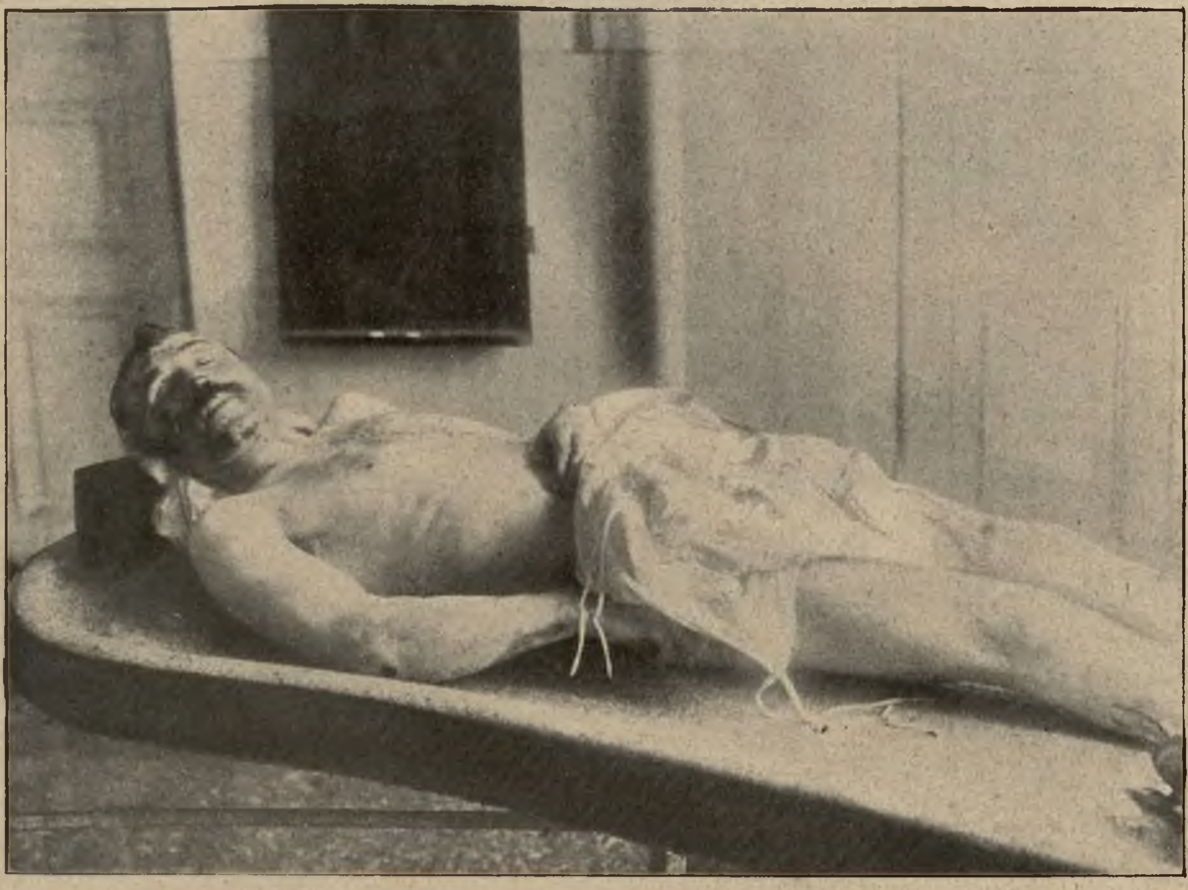
Na czele tego grona stoi p. St. Okołowiczówna, której wyczerpujące studya w dziale szkolnictwa i dyplomy z ukończonych nauk na uniwersytecie genewskim i w paryskiej Sorbonnie, przytem podróże i zwiedzanie szkół wzorowych w Szwajcaryi, Belgii i Anglii, wreszcie przeszło dwudziestoletnia praca pedagogiczna w szkołach własnych i cudzych, dają dostateczną rękojmię doskonałego prowadzenia szkoły.

W szkole tej prowadzona jest także nauka gimnastyki rytmicznej oraz sloyd.

W tych dniach odbyła się w szkole p. Okołowiczówny wystawa prac małych „artystów i artystek“, która ogólnie się podobała.



„Ogniem i Mieczem“: Essad-basza, obrońca Skutari i niedoszły władca Albanii.



W przystępie alkoholicznego szału: Zwłoki zamordowanego przy ul. Solec w Warszawie wyrobnika Kazimierza Wyrozębskiego.

Straszna śmierć akademika.

Bywają czasem w życiu tragedye, które popychają ludzi do czynów wprost okropnych. Widownią takiego strasznego czynu była w tych dniach stacya w Chyrowie. Słuchacz trzeciego roku praw, Aleksander Kłocznik z Krakowa, rzucił się tam pod wjeżdżający pociąg towarowy. Przeskoczył baryerę peronową i wpadł pod czwarty wóz za lokomotywą. O ratunku nie mogło być mowy. Koła wlekły trupa jeszcze z 15 m., zanim zdołano pociąg zatrzymać.

Samobójca zginął na miejscu, a koła wozu zmiażdżyły mu obie nogi i brzuch. Pracował on u adwokata Zahajkiewicza w Przemyślu, a smutne stosunki osobiste popchnęły go w ramiona śmierci.

Illustracye nasze przedstawiają zwłoki samobójcy po wydobyciu z pod wozu i w czasie sekcyi.

W przystępie alkoholicznego szału.

W tych dniach rozegrał się znowu w Warszawie jeden z tych dramatów, których podłożem jest otchłań nędzy i alkoholizmu.

Jedną izbę przy ulicy Solce Nr. 79 zamieszkiwały trzy rodziny, a między innymi 40-letni wyrobnik Kazimierz Wyrozębski i niejaki Budniak z żoną. W ostatnich dniach Budniakowa uciekła od męża, który z rozpaczy upił się, a powróciwszy nad ranem do domu, w przystępie alkoholicznego szału rzucił się z nożem na Wyrozębskiego. Rozpoczęła się walka, w której Wyrozębski padł trupem na miejscu... Po dokonaniu morderczego czynu Budniak zbiegł, niebawem go jednak ujęto i osadzono w więzieniu...

Illustracya nasza przedstawia zwłoki zamordowanego Wyrozębskiego.

Od Redakcyi.

Wobec przykrej pomyłki, jaka zaszła przy drukowaniu noweli p. t. „Jak w balladzie“, zamieszczonej w Nr. 7 i 8 r. b., zaznaczamy, że autorem jej jest p. Stanisław Pollak ze Lwowa.

Ze świata kobiecego.

W pełni rozkwitu.

W pełni rozkwitu znalazł się obecnie sezon mody bieżącego roku. Po szeregu dni zimowych wiosna znowu rozwinęła swą krasę, a co za tem idzie pojawiły się, obecnie już wykończone i ustalone mody sezonu letniego. Zbliżający się czas wyścigów da paniom u nas doskonałą sposobność zaprezentowania swych nowych toalet.

A są one bardzo ciekawe. Gra barw, zestawianych bez zastrzeżeń, imponuje. Widziałam n. p. bardzo ładny kostyum wiosenny, który składał się z ciemno-granatowej spodnicy *liberty*, podpiętej w rodzaju *panier* i żakieciku ciemno - czerwonego z mory jedwabnej krojem *kimono*. Całość uzupełniał zgrabny, mały kapelusik granatowy z czarną *pleureusą*.

Również oryginalną była suknia spacerowa z ciemno-popielatego jedwabnego kaszmiru. Rękawki były w lila kolorze z aksamitu, również spodniczka przybrana była aplikacyami z tegoż samego aksamitu, przedstawiającymi stylizowane róże.

Oryginalną nowość stanowiła suknia letnia z białej *crepe de chine*. Stosownie do najnowszego pomysłu mody rękawy długie zrobione były z *chiffonu changeant*. Staniczek z lekkiem wycięciem z przodu, był przybrany kołnierzykiem z koronki, a zarówno suknia, jak i stanik ozdobione dużymi guzami.

Cokolwiek zwracającą uwagę była suknia letnia, zrobiona w ten sposób, że spodnica była z *liberty* w kolorze rdzy, zaś stanik frakowy z szerokimi połami w kolorze brzoskwini. Z przodu stanik był przybrany gufrowaną koronką, otaczającą szyję i sięgającą aż do pasa.

Zwłaszcza w Wiedniu coraz bardziej zyskuje pole moda wschodnia. Między Paryżem a Wiedniem wytworzyła się w tej dziedzinie silna rywalizacya, która dotychczas oddała palmę pierwszeństwa Wiedniowi. Suknie wiedeńskie są to lekkie bardzo i wykwintne kompozycye, wykonane z materyi miękich: tiulu, szyfonu, koronek i futer. Specyalne uznanie zdobywają sobie piękne materye roboty *„batik"*, które odbijają silnie wpływ wschodni przez swą wielobarwność. Niepokoją one cokolwiek oko na pierwszy rzut, ale wywrą niezawodnie pewien decydujący wpływ na ogólną modę.



1) **Suknia letnia**, spódniczka plisowana.

2) **Suknia spacerowa** z jedwabiu, przybrana dużą szarfą.

3) **Suknia wieczorowa**, przybrana czarną gazą z materyi wschodniej.

4) **Suknia wieczorowa**, przybrana tiuniką gazową i futrem.

Bardzo noszone są obecnie do bluzek, a nawet sukien kołnierzyki koronkowe lub haftowane o bardzo pstrem zestawieniu barw. Przypominają one znane roboty koronkowe bośniackie i hafty tureckie.

Roboty te zalecają się bardzo swoją taniością, oraz tem, iż dadzą się nosić i dostosować do każdej bluzki. Bardzo dobrze zdobią także bluzki stare, przerabiane, robiąc z nich doskonałe modne.

Przybranie kapeluszy w drobne kwiateczki znalazło pewną odmianę w tem, iż wprowadzono kombinowane fantazye z kwiatów i piór strusich. Widziałam bardzo ładny kapelusz czarny, fason bastowy, przybrany w ten sposób, że główkę okalała girlanda, ułożona z małych strusich piórek, przeplatanych drobnymi różyczkami, zaś z tyłu przypięte było prosto wielkie ładne czarne strusie pióro. — Współzawodnictwo salonów mód wytworzyło specyalny sposób pokazywania toalet. Nie wystarczy już dzisiaj wielkim domom mody, że suknie swoje pokazują przy pomocy manekinów lub w kinematografach, ale urządzają wielkie herbatki proszone, na których gromadzi się świat literacki, artystyczny, a nawet przybywają damy z wielkiego świata. Na tych zebraniach artystki pokazują na sobie nowe kreacye mody, zaś literatki i redaktorki wygłaszają odczyty o modzie i jej zdobyczach. Takie *revue* są dzisiaj sensacyą dnia zarówno w Wiedniu jak i w Berlinie i Paryżu.

Ciekawszem jeszcze w tej całej imprezie jest to, że panie za wstęp na te *„revue"* płacą drogie bilety wejścia. Ostatnia wielka *„revue"* urządzona w Berlinie kosztowała po 10 marek od osoby. Ale ostatecznie czego dla mody się nie robi! Tak to już jest i pozostanie, że my kobiety nieraz nawet wbrew naszej woli jesteśmy jej bezwzględnymi niewolnicami.

Moda nie zapomniała także o dzieciach.

Wprawdzie tutaj o wiele skromniej szafuje swymi pomysłami, ale w każdym razie wprowadziła na targ szereg zgrabnych barwnych żakiecików dla starszych panienek. Przeważają białe i czerwone, dosyć noszone są także i brązowe w różnych odcieniach. Kapelusiki przybiera się tak jak u starszych drobnymi kwiateczkami. Na lato dla dzieci zostaje przedewszystkiem moda białych sukienek, mniej praktyczna, ale za to bardzo ładna.

W.

W sprawie naszej Wielkiej Szarady!

W myśl zapowiedzi, umieszczonych w numerze 52-go z r. 1912 i 1-go z r. 1913, odbyło się w dniu 12-go maja b. r. w lokalu Redakcyi losowanie nagród, przeznaczonych za rozwiązanie naszej **Wielkiej Szarady konkursowej.**

Nagród przeznaczono ogółem 34, z tego cztery główne, a trzydzieści pobocznych. — Rozwiązań nadesłano 1951, dodatkowo, na skutek reklamacyi wpisano: Nr. 1952 Cellerin Fr. S., Bukowsko i Nr. 1953 Tobiński Seweryn A., Jastrzębia.

Wynik losowania:

a) **Nagrody główne:**

1. Komplet dzieł H. Sienkiewicza	Nr. losu	207	Zębaczyński Daniel, Petersburg
2. „ „ J. Słowackiego	„ „	1846	Jurkiewicz Marya, Kraków
3. „ „ A. Mickiewicza	„ „	86	Stachowicz Marya, Rzeszów
4. „ „ Z. Krasińskiego	„ „	665	Müller Helena, Cieszyn

b) **Nagrody poboczne,** które stanowić będą najświeższe nowości literackie, tak oryginalne, jak tłumaczone:

1.	Nr. losu	138	Ks. Kwapiński W., Czerniowce
2.	„ „	1253	Domański Konrad, Lwów
3.	„ „	150	Celewicz Konstanty, Czerniowce
4.	„ „	1526	Schulz Leon, Lwów
5.	„ „	274	Szkoła tkacka, Wilamowice
6.	„ „	1660	Kulikowa Helena, Cieszyn
7.	„ „	433	Wilczek Henryk, Lwów
8.	„ „	1026	Dzierzyńska Aniela, Kutkorz
9.	„ „	654	Miciński Gustaw, Olszanica
10.	„ „	1700	Krupa Jan, Winnica
11.	Nr. losu	537	Kucharski Leon, Tarnów
12.	„ „	100	Lewicki Rogala Mieczysław, Koniuszki Siemianowskie
13.	„ „	859	Krawiec Jan, Opawa
14.	„ „	1386	Bialik Marya, Sosnowiec
15.	„ „	538	Bogusz Ignacy, Warszawa
16.	„ „	1875	Fedorowicz Jan, Tarnów
17.	„ „	243	Dębicki Ludwik, Turka n. Str.
18.	„ „	13	Baran Józef, Biała
19.	„ „	300	Lam Stanisław M., Kopyczyńce
20.	„ „	1219	Seifert Marya, Wilno
21.	Nr. losu	37	Zborzil Ignacy, Dobrków
22.	„ „	1553	Kruszelnicki Stanisław, Rawa
23.	„ „	1123	Kulczycki Jan, Kraków
24.	„ „	739	Chmurska Barbara, Biała
25.	„ „	1311	Cybulski Jan, Poznań
26.	„ „	174	Waszkiewicz Stanisław, Warszawa
27.	„ „	1606	Zamorski Józef, Rzeszów
28.	„ „	973	Malina Zygmunt, Rzeszów
29.	„ „	1486	Stach Jan, Staszów
30.	„ „	66	Dowsilas Franciszek, Żywiec

UWAGA: Ekspedycya wygranych rozpocznie się w najbliższym czasie. — Nagrody główne wysłane zostaną na koszt wygrywających, na przesyłkę poleconą pobocznych wygr. należy nadesłać 35 halerzy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 18.

Zadanie konikowe:

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,
Błysnął ze złotych osłonek.

Zawcześnie. kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Logogryf ogrodniczy:

P	a	p	r	o	ć
A	n	a	n	a	s
R	e	z	e	d	a
K	a	k	t	u	s
A	z	a	l	i	a
N	a	r	c	y	z

Łamigłówka: Ule, Pan, Asy, Don, Era, Kot, Sak, Kir, Udo, Tum, Ale, Rak, Iro.

Zagadka: Nora, Aron.

Łamigłówka literacka:

Niemojewski.
Aspiro.
Miciński.
Arystofanes.
Rodziewiczówna.
Nowaczyński.
Esteja.

Przysłowiówka: Gdzie się dwóch powaśni, tam trzeci korzysta.

Bilety wizytowe: Galicya, Komarno. Portugalia, Lizbona. Szwajcarya, Berno.

Łamigłówka teatralna: Romeo i Julia.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, J. Wilczkiewicz Sanok, H. Wiewiórowski Jasło, J. Jakubowska Kraków, K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, W. Januszewiczowa Warszawa. M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Ceremchów, Ch. Rosenblum Borszczów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blätterfeind Kołomyja, E. Bogdalska Koropuż, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, J. Kwaśniewski Przemyśl, W. Świrski Piotrków, S. Medyński Zakopane, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, J. Charzewski Kraków, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Sokołowska Kraków, T. Kępiński Łomża, G. Górski Petersburg, M. Kunz Czerniowce, K. Reichenberg Cieszyn, K. Ostrowski Sandomierz, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H. Bukowska Winnica, J. Maciejowski Lwów, R Topolnicki Kamieniec, M. Obst Lwów, J. Pick Warszawa, S. Chełmicki Wilno, K. Szumańska Rawa Ruska, J. Kalinowska Mińsk, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa. I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, D. Engelberg Rzeszów, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów. S. Krzyżanowski Podgórze, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z. Serwański Jasło, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, S. Karczmarski Poddębie, M. Cichocka Brzeżany, H. Mazurkiewicz Lwów, W. Kownacki Poznań, H. Zegartowska Bogucice, D. Zawadzki Jasło, J. Pawłowski Zamość, M. Rawska Głogów. J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, J. Halski Janów, B. Sługocki Lwów, H. Radomska Kraków, M. Raszka Cieszyn.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **W. Potocka Tarnów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

15

— Ależ to data ślubu naszych dzieci.

— Wiem, jednakże ona wybrała ten dzień, a nie inny.

— Trzeba jej było to powiedzieć...

— Nie śmiałem. Nalegała. Wyglądałoby to tak, jakbym się cofał.

— O której-że to ma się odbyć?

— Około dziesiątej. Ja daję przedstawienie zamiast niej.

— Imiennie, oficyalnie?

— Tego to już nie wiem.

— Byłaby to ładna dla ciebie reklama, gdyby ci się udało, ale jeżeli umrzesz, to się zbłaźnisz. Monte-Leon zginie dla potomności, staniesz się li tylko befsztykiem... pożartym.

— Tak tedy zachęcasz mnie?

— Nigdy w życiu! Ale trzeba poddać się temu, czego nie podobna uniknąć.

— Nie bój się. Wejdę do klatki śmiało. Czuję się dość silnym.

— Skoro tak postanowiłeś, niechże stanie się wola Demony!

— Przyjdziesz na spektal?

— Zapewne!

Przyjaciele uścisnęli się za ręce.

— Nie myślałem, ażebyś był takim waryatem — rzekł Carboniera.

— Widziałeś tę kobietę. Tłomaczy mnie jej piękność.

— I cóż chciałbyś z nią począć?

— Wykonam arcydzieło.

— Ach, bronz! marmur!

— Ożywię ją w dziele nieporównanem!

— Ha, skoro taką masz myśl, nie mówmy o tem więcej! Dobrej nocy i dobrej myśli... Model nie jest do pogardzania.

I Carboniera zostawił przyjaciela przy dalszej robocie szkicu. Nie był zadowolony.

— Takie szaleństwo w dzień ślubu małych nie podoba mi się wcale. Nie jestem zabobonny, ale głupio mi!

I poszedł rzucić się w objęcia Rózi z potulnością starego zepsutego dziecka

— Wiesz kochanko — rzekł do niej: — czuję, że melancholja mnie chwyta. Pójdźmy na Montmartre do *Chat-Noir* — tam się wyzbędę tego wrzodu!

CZĘŚĆ II.

ZEMSTA SIGRISTA.

ROZDZIAŁ I.

Uroczystość.

Ślub Marceli z Ferdynandem odbył się. Około pierwszej po południu, orszak weselny powrócił do domu Monte-Leona. Przyjęcie było wspaniałe, a przeszło sto osób znajomych i przyjaciół spędziło dzień w przepysznie urządzonej willi. Ogród, całkowicie okryty, ze względu na jesień, tworzy nader obronny namiot, pod którym łączą się najprzeróżniejsze rozrywki. Kiermasz. Widowisko w pełni natury przy temperaturze oranżeryi. Jesteśmy w listopadzie, wszystko przez to jest o tyle ładne, o ile nieoczekiwane. Artystów moc. Dużo najurodziwszych aktorek paryskich przyjmuje udział w tej uroczystości, na której każdy gość jest kimś wybitnym w sztuce czy literaturze.

Ferdynand promienieje szczęściem. Marcela, urocza w swej sukni białej, pełnej prostoty, zbiera ogólne pochwały. Młoda para drży zlekka w tem upojeniu zbytkiem i miłością. Czuje się wzruszoną webec życzliwego uśmiechu tak wybitnych przyjaciół. I najwięksi sceptycy zaczynają wierzyć w szczęście.

Carboniera dokazuje setnie, byle ubawić wszystkich. Rózia i Monte-Leon, bardziej skupieni, cieszą się w milczeniu z najwyższego zadowolenia swych dzieci. Rzeźbiarz, wśród uciechy, zdradza jednak pewne wzburzenie. Stara się zapomnieć o niesłychanem szaleństwie, jakie go czeka tegoż wieczoru. Nieokreślone przeczucie mówi mu, a będzie to nieszczęściem dla tych dwojga dzieci, które kocha z jednakową czułością. Ale cofać się niepodobna. Pisma wieczorne mają zapowiedzieć z wielkim hałasem egzotyczny spektakl. Afisze dadzą na pastwę ciekawości publicznej jego nazwisko. Monte-Leon nie chce zakłócić śmiertelnym niepokojem pierwszej nocy młodych małżonków. Chciałby teraz uwolnić się od danego słowa. Niepodobieństwo! Jest zapóźno. Chwyta go lęk niejasny. Carboniera nie traci go z oka. Niekiedy zbliża się doń i pokrzepia go jakimś pustym żartem.

— Nikt się nie domyśla, że i ty gotujesz sobie mały poemat na dzisiejszy wieczór! Nie przybieraj że tak ponurej miny, bo rozgłoszę wszystko.

Monte-Leon zapewnia, że to wejście do klatki to niczem nie jest i niczem się nie skończy. W rzeczywistości jednak wcale nie jest tego pewnym.

Podają obiad. Wszelkie wspaniałości i kokieterye stołu występują kolejno. Karafki krążą, a kordyał wyśmienity i wytworny połyskuje w kieliszkach cienkich, jak muślin. Całe trzecie piętro tworzy jedną salę, która za chwilę stanie się salą balową, jak tylko obiad się skończy. Fale światła uwydatniają błyskotliwie bogate stroje i brylanty kobiet. Wesołość płynie, jak potoki starego wina. Skarby artystyczne rzeźbiarza, rozstawione z fantazyą, oszałamiają wyobraźnię i olśniewają spojrzenia. Uczta godna Homera i Rabelais'go. Gama win różnych gatunków występuje świetnie i umiejętnie. A dania idą jedno za drugiem, w arcyzręcznej kombinacyi. Jedno trawi drugie. Potrawy, rozumnie zapijane winem właściwem, dodają, zda się, apetytu. Towarzystwo konsumuje z entuzyazmem. W miarę postępowania obiadu rodzą się coraz to nowe komplementy. Wszyscy winszują artyście, który ułożył tak pyszną biesiadę. Mężczyźni wychwalają wina wysokich marek i niezrównanej wytworności smaku. Kobiety, mające wogóle większe poczucie smaku i posiadające w wysokim stopniu kokieteryę i delikatność żołądka, próbują każdego dania. Wszystko odbywa się wesoło. Jest to niejako jedna rodzina. Zapytują o nazwisko Vatela.

— Carboniera oświadcza, że on nim jest i wskazuje na Monte-Leona, jako na szafarza.

Wybuchy uznania coraz większe, wkońcu ktoś wygłasza toast na cześć obu przyjaciół. Marcela i Ferdynand piją się czarującem wzruszeniem. Dla nich to nietylko przyjemność oczu, ale i uroczystość serc. Towarzystwo przygląda im się z zazdrością. Szczęście bije z ich świeżej młodości, a ich spojrzenia połyskują w oczekiwaniu upajającem przyszłych pieszczot. Podczas gdy półmiski krążą przy gościach i gdy kieliszki się opróżniają, muzyka łagodna i dyskretna zachwyca imaginacyę. Zrazu dźwięki nut lekkich, dalej melodya stopniowana, przechodząca w świegot, nareszcie usiłowanie preludyów. Ktokolwiek nie posiadał subtelnych uczuć harmonii, musiałby odgadnąć znaczenie tej pieśni instrumentów. To miłość, zrazu świeża i trwożliwa, potem gorąca i namiętna, która w olśniewających trylach spływa z ukrytej kapeli. *Les Saisons de l'Amour* — taki tytuł nosi fantazya, odegrana po raz pierwszy i próbowana wśród gawęd gości. Ale nagle zapanowywa milczenie.

ROZDZIAŁ II.

Miłość.

Spiew się rozpoczął. Muzyka wibruje we wszystkich ciałach, porwanych wzruszeniem, a narzeczeni słuchają, błogo uśmiechnięci, harmonijnych dźwięków. Poezya świegoce z subtelnością swego ideału:

„Wiosno, tyś jest najpierwszą i najcudniejszą z pór roku..."

. . . .

Muzyka umilkła, a goście wzruszeni i pełni zachwytu, słuchali jeszcze. Młodzi małżonkowie, połączywszy dłonie, przymknęli do połowy oczy i zdawało się, że wywołają anioła miłości na gorącą łąkę.

W tej chwili pierwsze dzieło Monte-Leona, wykończone przez artystę powtórnie, ukazało się z poza okalającej je zasłony. Grota z granitu i para z marmuru, pełna upojenia, taką była, jak treść tej grupy: Miłość.

I wtedy nastąpił istotny wybuch zachwytu. Ta melodya, którą się oczarowano, to było to arcydzieło, oddane w harmonii dźwięków. Marmur hymn swój odśpiewał! Dopytywano o nazwisko pieśniarza. I Carboniera, wskazując na syna, zmięszanego i rumieniejącego się, rzekł:

— Oto jest ten, który wytłómaczył znaczenie dzieła wielkiego mistrza w sztuce realistycznej! To jego pierwsza próba w tym rodzaju.

Każdy poklaskiwał, zachwycony tym debiutem młodego muzyka, o talencie którego nie wiedziano wcale. Ale on skromnie wskazał na Marcelę:

— Nie jestem tłómaczem, lecz kopistą. To Marcela podyktowała mi tę melodyę!

Powstano z miejsc i szczerze, dobrowolnie winszowano młodym małżonkom. Carboniera, z piersią pełną wzruszenia, łkał, jak dziecko. Monte-Leon, bardzo blady, cierpiał widocznie.

— Ach! — szepnął przyjacielowi do ucha — mówię ci, że fatalność cięży nad nami. Nieszczęście się zbliża.

— Cicho bądź! — rzekł Carboniera — przeczucia stoją poza sezonem.

I dodał:

— I pomyśleć tylko, że masz za godzinę dać ze siebie widowisko gapiom!

— Potrzeba mi tego było! — odparł Monte-Leon ze smutkiem.

— A tak, teraz może się cofniesz? Nie należało się angażować tak bezmyślnie.

Towarzystwo opuściło obszerną salę, ażeby dać możność tapicerom do przekształcenia jej na salę balową. W niespełna kwadrans czasu była gotowa i rozpoczął się wieczór tańcujący. Ogród, iluminowany i oświecony elektrycznością, dawał czarodziejski widok tancerzom. Co do samej sali balowej, ta była wspaniałą i pływała po prostu w olśnieniach.

Po wstępie, w którym Carboniera wykazał swoje talenty choreograficzne, małżonkowie znikli. Jeden ze służących, zgodzony jako *extra* na tę uroczystość, mały, czarny człeczyna, który starannie ukrywał swoją fizyognomię, a nadewszystko odblask swoich jasnych oczu, poprzedził młodą parę do jej apartamentu. Ukrył się skwapliwie poza portyerą, tuż przed ich sypialnią. Ferdynand i Marcela, porwani sobą, przeszli obok niego. I oczywiście nie spostrzegli poruszającej się zlekka portyery. Drzwi do pokoju otworzyły się i zaskoczyły za nimi. Słychać było gwar balu, wywołany przez narzędzia orkiestry i tancerzy. Bal odbywał się teraz bez udziału Monte-Leona i Carboniery. Nikt prawie nie spostrzegł ich odjazdu, tak wielkiem było ożywienie ogólne.

ROZDZIAŁ III.

Pokój małżeński.

Oboje młodzi, oniemieli w ekstazie swojego szczęścia, stali przed sobą. podziwiając się z miłością.

Ich ładne głowy, czyste i młode, odbijały się w przeciwległem zwierciadle. Dyskretny blask ampli, zwieszający się ze środka sufitu, oświetlał ich łagodnie. Jakież zachwycenie w ich oczach, skąpanych niemocą!

— Moja! Moja... nareszcie! — szepnął Ferdynand.

Zmiażdżona ciężarem swego szczęścia, ona pochyla główkę na piersi męża. Dreszcz ich rozkosznie porusza. Ich ręce się łączą, ich usta zbiegają się w długim, upajającym pocałunku.

Wolni i sami w tajemniczości tego ciepłego gniazdka, które tchnie całe wonią miłości! Nie, to za wiele szczęścia!

Podczas gdy stali, kołysani wszechmocą uciech poufnych i głębokich, lekki skrzyp dał się słyszeć ode drzwi, jak szelest papieru.

Odwrócili się jednakowym ruchem.

I oto, spostrzegli, że przez szparę drzwi po nad zamkiem czyjaś nieznana ręka wsuwa kopertę szeroką, obramowaną czarno.

Zdrętwieli, na widok tej żałobnej karty, która była czarną plamą w ich gniazdku młodych upojeń miłosnych.

ROZDZIAŁ IV.

Aresztowanie.

Ferdynand pierwszy odzyskał przytomność umysłu. Poszedł wyjąć ze szpary żałobny papier. Zgorszony, chciał wiedzieć, kto mógł być autorem tego, co z góry uważał za żart ponury. Otworzył drzwi i ze świecą w ręku, przebiegł apartament. Nikogo! Odpieczętował kopertę. Zawierała ona program widowiska.

I z przestrachem czytał, co następuje:

Galerya dzikich zwierząt.
Bulwar Clichy.
Great atraction! Najwyższa atrakcya!
Dziś wieczorem punkt o dziesiątej
sławna pogromczyni
DEMONA
ustąpi swego miejsca amatorowi.
Będzie nim
Pan MONTE-LEON
artysta-rzeźbiarz rozgłośny.

Znajdzie on się oko w oko z Sułtanem, zwanym Mogiłą pogromców, a przed tygodniem zaledwie przywiezionym do Galeryi dzikich zwierząt.

Zaledwie Ferdynand skończył czytanie afisza, gdy Marcela podeszła, bielsza od swej sukni ślubnej.

— Co to takiego? — spytała.

— Nic, zapewniam cię, ale nie mam czasu opowiadać ci o tem. Muszę jechać natychmiast.

— Mój drogi!

— Pieszczotko moja, błagam nie wstrzymuj mnie!

— Czy grozi nam niebezpieczeństwo?

— Nie, nie o nas tu chodzi, bo byłbym spokojniejszy o wiele.

— Więc o kogo?...

— Nie, nie mogę ci nic powiedzieć... Bądź zdrowa, Marcelo.

— Ferdynandzie!

— Przez litość nie zatrzymuj mnie!

— Pokaż mi ten list.

Nie żądaj tego.

Młody człowiek pobiegł do przedpokoju, wziął palto i ubrał się.

— Marcelo, przebacz. Ojcu twemu grozi niebezpieczeństwo, biegnę więc do niego.

— Ojcu? Co ty mówisz?

— Nie bój się. To sprawa pieniężna, nic innego.

— Dlaczegóż więc nie odłożysz tej sprawy do jutra?

— Nie ma ani chwili do stracenia, suma jest znaczna.

— Czy nie chcesz mnie w błąd wprowadzić? Rzeczywiście, o pieniądze tu chodzi?

— Tak, tak! Do widzenia... Niebawem będę z powrotem, najdroższa!

I uciekł, posyłając jej całusa. W trzy sekundy był na ulicy. Przejeżdżała pusta dorożka. Wskoczył.

— Bulwar Clichy, Galerya Dzikich Zwierząt. — zawołał do woźnicy.

I fiakier odjechał szybko.

Ten sam lokaj, któregośmy widzieli, jak się zakradł do mieszkania młodej pary, był teraz ubrany w czarny płaszcz. Podbiegł do dorożki i uczepił jej się od tyłu. Po dwudziestu minutach dojechano do miejsca. Baraki były otoczone zwartym tłumem, który huczał, zły, że wejść nie może.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Bilety wizytowe.

Ułożył W. M.

Z liter na biletach umieszczonych utworzyć kraj i miejscowość, jaką zamieszkuje każda z tych osób.

ADELA B. BERGRIS

TERESA PHERYAN

AJAKS RAYKOCCIO

Łamigłówka.

Ułożyły K. K. i J. R. ze Lwowa.

Podane samogłoski, połączone odpowiedniemi spółgłoskami, utworzą znane polskie przysłowie:

— ie — ó — — o —, — ó — i — ie — — — e — — o — — y — —.

Zagadka literacka.

Ułożył M. Niedzielski, Drohobycz.

Pierwsze litery nazwisk autorów poniżej wymienionych utworów, czytane z góry na dół, podadzą tytuł poematu Słowackiego.

Oda do młodości?
Upiory?
Powrót posła?
Hrabia Monte Christo?
Jędza?
Syn marnotrawny?
Nina?

Łamigłówka.

Ułożył Szczęsny Kiliński, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą tytuł utworu dramatycznego.

Sa —
k — c
— ud
a — e
on —
o — a
— on
p — t
ca —
k — t
— og
t — r
le —
r — k

Logogryf.

Ułożył M. Niedzielski, Drohobycz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy poda nazwisko polskiego poety, pierwszy poziomy tytuł jego utworu

□ □ □ □ □
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Kapłan u starożytnych Rzymian. 3. Utwór Prusa. 4. Drzewa szpilkowe. 5. Zwierzę. 6. Okres czasu. 7. Miasto na Litwie. 8. Miejscowość w Królestwie Polskiem. 9. Imię męskie. 10. Znany dramaturg.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Hibl, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nam nazwisko polskiego literata.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Inaczej odmawiać (n. p. ręki) 3. Owad błonkoskrzydły. 4. Przeciwnik. 5. Zamieszanie, hałas. 6. Drzewo liściaste. 7. Gra w karty. 8. Ogród owocowy. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Łamigłówka historyczna.

Ułożył W. M.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego bohatera.

O — a
l — s
a — a
w — r
ć — a
k — r
s — n
a — a
ł — y
o — a
l — d
c — o
g — d
e — a
o — a
o — o
l — s

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Wiktora Dzierżanowskiego:* **Nam jeno szumy zwiastują wiosnę...**

„SZATNIA“ spółka z ogran. odpow.

Kraków, Sławkowska 14. Tel. 2534

POLECA

Na sezon wiosenny i letni obficie zaopatrzony skład ubrań męzkich. Wszelkie zamówienia wykonuje się według ostatniej mody szybko i wytwornie. Specyalność: Ubrania sportowe! **Ceny nader niskie!**

Zaufania godne, najlepsze środki **do pielęgnowania piękności i czyszczenia cery** nie należy zamieniać środkami piękności na nowo wprowadzonymi w handel i krzykliwie reklamowanymi.

Krem akacyowy Kriegnera

jest nadzwyczaj delikatny, posiada przyjemny zapach, odświeża twarz, upiększa i odmładza ją. Już po kilku dniach znikają piegi, plamy wątrobiane, zmarszczki. Cena 2 korony. Do tego polecenia godnym jest

Kriegnera puder akacyowy

biały, różowy, kremowy. Niezrównany przeciw wpływom słońca i wiatru. Cena pudełka 1 kor. Od lat szczególnie wzięte także u mężczyzn.

Kriegnera mydło akacyowe

działa przyjemnie i długo pachnie. Cena 1 korona. Wysyłka pocztą przez

aptekę Kriegnera, Budapeszt VIII

Kalvin-tér 1.

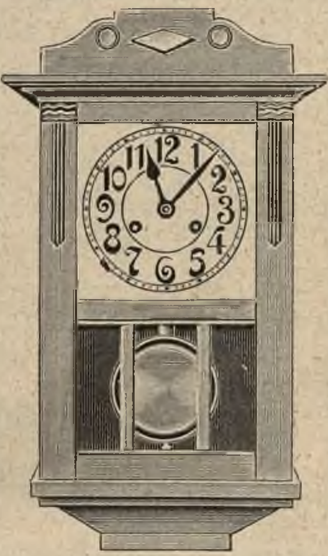
Małżeństwo bez troski zapewnia broszura o odkryciu **Dra Müllera:** Jak chronić się przed zbyt liczną rodziną bez artykułów „hyggien“ tak szkodliwych i niepewnych.

Cena z dyskretną przesyłką 50 hal. w markach.

„Iris“ Dom handlowy, Kraków, ul. Długa L. 21.

Pierwsza fabryka zegarów HANNS KONRAD

c. k nadworny dostawca w Brüx Nr. 4102 (Czechy)



ofiaruje w swoim **bogato illustrowan. katalogu,** wielki wybór w zegarach wszelkiego rodzaju i poleca go darmo i opłatnie.

Nr. 4644 dobry modny miniaturowy zegar wahadłowy idący 30 godzin w pięknem pudle z orzechowego drzewa z srebrną tarczą 52 cm. długi **K 13·50,** tensam bijący pół i całe godziny **K 14·50,** z głosem dzwonu wieżowego **K 15·50.**

Nr. 4441 1|2 modny, osiem dni idący sprężynowy zegar wahadłowy pół i całe godz. bijący, w ciemnym 75 cm. długim pudle z drzewa orzechowego **K 32·—**

Nr. 4442 1|2 z amerykańsk. 14 dni idącym i bijącym werkiem **K 35·50,** z kryształowem szlifowanem szkłem **K 38·50.**

Prima wahadłowy zegar z ciężarkami 8 dni idący, bijący pół i całe godziny w dobrem, eleg. wykonaniu Kor. **55·—, 60·—, 67·—** i wyżej. Wysyłki za zaliczką lub przedpłatą.

Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy! Główny katalog z przeszło 4000 odbitkami wysyła się każdemu na żądanie darmo i opłatnie.

Letnia okazya



Obok przedstawiona, dostosowana suknia letnia z japońskiego woalu o wspaniałych barwach, wystarczająca do własnego wykończenia, kosztuje **K 4·95.** Żądajcie naszych bogatych

kolekcyi próbek

nowych bardzo pięknych materyałów na suknie damskie i bluzki, jak i

illustrowanych żurnali mód

z najnowszymi modelami konfekcyi damskiej, toalet, bluzek, kapeluszy etc.

Wysyłka zupełnie darmo.

Wielki magazyn „Au Prix Fixe“

Wiedeń I, Graben 15/7.

Wchód: Habsburgergasse 1.



Ideałem wszystkich Pań jest piękna, matowa i arystokratycznie wyglądająca cera to jest dopiero prawdziwa piękność. **Żadnych zmarszczek, żadnych pryszczy, żadnej czerwoności.** Zdrowa i czysta cera twarzy jest rezultatem, który się przez skombinowane używanie **Crème Simon**, pudru i mydła Simon osięga. 2

Należy żądać tylko prawdziwej marki.

Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

poleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Obcych Języków w szkole i w domu, bezpłatnie,** bo **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i kluczem p. t.:

SAMOUCZEK

Polsko-Niemiecki kurs I-szy K 2·40, kurs II-gi K 4·80

Polsko-Francuski kurs I-szy K 3·60, kurs II-gi K 9·60

Polsko-Angielski kurs I-szy K 2·30, kurs II-gi K 3·60

Polsko-Rosyjski kurs I-szy K 4·20, kurs II-gi K 5·40.

Bezpłatne zeszyty wysyła księgarnia po nadesł. 15 h na porto.

SIŁA! PIĘKNOŚĆ!

!! Rzadka sposobność dla każdego !!

Wysyłam w celu niebyw reklamy po własnych kosztach 5000 szt.

Najnowszy patent. wzmacniacz muszkułów!

15 minut dziennie

15 minut dziennie



Najnowszy patent. wzmacniacz muszkułów!

Dla Panów, Pań i dzieci jako trwały i najtanszy środek do pobudzenia normalnego obiegu krwi wykształcenia wszystkich muszkułów gónej części ciała. **Cena K 3·—** **Cena K 3·—**

Wiedeń, VIII. Laudong. 61 (Bennog. 12) **Wys. poczt. Matth. Tadla** **Wiedeń I. Universitätsstr. 5**



500 Koron

zapłacę, jeżeli nagniotki Pańskie, brodawki i skórę zrogowaciałą nie usunie w 3-ech dniach mój niszczyciel korzeni **„Riasalbe“**. Cena 1 słoiczka wraz z listem gwaranc. 1 korona.

Kemény, Kaschau

I. Postfach 12|54 (Węgry).

Panna R. M. Auersth pisze: Pańska **Ria** działa zadziwiająco. Nie mam już żadnych odcisków. Proszę przysłać jeszcze cztery słoiki dla mego brata i bratowej.



Kapelusze słomkowe i Panama można oczyścić w 3 minuty

za pomocą „Strobinu“. Sprobnjcie i przekonacie się, jak to jest zwyczajnic i łatwo. Paczka 20 Kop. Sprzedaż w składach aptecznych. Żądajcie wyraźnie „Strobin“, gdyż są bezwartościowe i szkodliwe dla plecionki i kapelnszy falsyfikaty i naśladownictwa.

HOTEL PENSION NOUVELLE

KRAKÓW, ZACISZE L. 14

(W POBLIZU DWORCA KOLEJOWEGO)

NA PARTERZE, I-szem i II-giem PIĘTRZE

POKOJE UMEBLOWANE

OD 2 KORON I WYŻEJ

NA ŻĄDANIE:

OBIADY, KAWA, HERBATA

ROWERY



PIEGI

Do usuwania piegów używa się najrozmaitszych środków. Wszystkie polegają na tem, że piegi pełzną. Jest to niewłaściwy sposób. Chce się piegi usunąć, to wypełznięcie nie pomaga, bo powracają, jeżeli zaprzestanie się używać tego środka. Należy je zatem zupełnie wyniszczyć. Zupełne usunięcie piegów umożliwia jedynie tak zwany **„SANTO-CREME“**. Twarz smaruje się codziennie, potem zmywa się ją mydłem. Piegi usuwa się tym kremem **zupełnie w ciągu krótkiego czasu, śliczna biało-różowa płeć występuje ponownie.** Krem sporządza się według wskazówki prof. uniw. Dra Hagera, jest prawnie chroniony, dziś pod gwarancyą jedynie i nieszkodliwie działający środek. — Jedna flaszka wystarcza w zupełności.

Sposób użycia dołączony.

Cena K 2·50, pocztą K 2·80 opłatnie.

Do nabycia za poprzedniem nadesłaniem należytości w markach pocztow. przekazem lub za zaliczką.

J. Kukla, Praga, Perlowa 162.

LALKI Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE ul. Grodzka 2**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor Wacław Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.